



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



**NARODOWE
CENTRUM
KULTURY**



**OJCZYSTY – DODAJ
DO ULUBIONYCH**



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury: Ojczysty – dodaj do ulubionych. Edycja 2022

The Best of
Szczęście. Po prostu
Antologia tekstów laureatów konkursu literackiego

WSTĘP

Konkurs literacki, zorganizowany w ramach projektu Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateneum *Szczęście. Po prostu* zaadresowano do młodzieży szkolnej z województwa śląskiego w wieku od 13 do 19 lat.

Organizatorzy postanowili zachęcić uczestników do refleksji na bliski wszystkim, wzbudzający wiele emocji temat. Dla każdego z nas szczęście jest bowiem wyjątkowo subiektywnym odczuciem; pojmujemy je i podchodzimy do niego bardzo indywidualnie, trudno więc znaleźć wspólny mianownik.

Widać to wyraźnie w nadesłanych na konkurs tekstach, w których młodzi ludzie manifestują swoją odrębność, światopogląd, system wartości. Warto przyjrzeć się, jak różnie postrzegają szczęście, o czym myślą i marzą, do czego dążą, co daje im radość.

W swoich pracach podzielili się przemyśleniami, próbując odpowiedzieć na jedno z pytań: *Jak wyglądał(by) najszczęśliwszy dzień twojego życia? lub Co trzeba zrobić, żeby zyskać przychylność losu?*

W konkursie wzięło udział 61 osób.

Jury w składzie:

Robert Strzała (przewodniczący)

Urszula Kijak

Katarzyna Matwiejczuk

przyznało 6 nagród i 1 wyróżnienie w kategorii esej/felietion, 7 nagród i 3 wyróżnienia w kategorii opowiadanie oraz po jednej nagrodzie w kategoriach piosenka i scena dramatyczna. Ponadto jury postanowiło przyznać 3 wyróżnienia specjalne.

W antologii znalazły się prace wszystkich 22 laureatów.

Szczęście nie jest czymś, co przychodzi gotowe.

Ono pochodzi z twoich własnych działań.

(Dalai Lama)

KATEGORIA ESEJ/FELIETON

LAUREACI

Grand Prix

Aleksandra Bednarz, II Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
w Cieszynie

I nagroda

Oliwia Frueauff, V Liceum Ogólnokształcące im. Andrzeja Struga
w Gliwicach

Sandra Sutor, Zespół Szkół im. Stanisława Szybińskiego w Cieszynie

Szymon Czardybon, Zespół Szkół nr 1 w Tychach

II nagroda

Wiktoria Budzynowska, II Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława
Wyspiańskiego w Będzinie

Olaf Błazewicz, Technikum nr 4 Transportowe w Sosnowcu

wyróżnienie

Julia Chobot, V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Zamoyskiego
w Dąbrowie Górniczej

Aleksandra Bednarz

CO TRZEBA ZROBIĆ, BY ZYSKAĆ PRZYCHYLNOŚĆ LOSU?

Staram się wyobrazić sobie Los. Natężam wzrok i tak się skupiam, że aż mi z głowy paruje. Muszę mieć teraz, przyznaję, nieźle wybałuszone oczy i wcale durny wyraz twarzy, a jednak jest to wysiłek owocny. Widzę Los w pełnej okazałości i mam coś niecoś na jego temat do powiedzenia. Żadne plotki ani bujdy wyssane z palca. Wyłącznie rzetelne informacje.

Los... Kim on właściwie jest? W mojej głowie siedzi on aktualnie przy wąskim, białym biurku, na obitym jasną i miękką skórą fotelu obrotowym. To jest niezwykle wygodny fotel. Los uśmiecha się pod nosem, ale wzrok ma niespokojny, a rysy twarzy – zmęczone. Dopił swoją kawę, śmietankę, która w swojej dumnej pysze postanowiła zamieszkać na jego górnej wardze, zlizął dyskretnie. Wygląda przez okno. Widzi smukłe budynki i ciała o różnych gabarytach, które spostrzegłszy w szybie jego szaroburą ponurą sylwetkę zaraz kłaniają się do samej ziemi, a ci najbardziej zdesperowani wykrzykują nawet

z pewną żenującą dozą służalczości słowa powitań, uszanowań, pożegnań. Wszystko to wprawia Los w niemałe zakłopotanie. Jest on człowiekiem nawet niegłupim, choć pozbawionym fantazji i polotu, prawdziwym biurokratą. Swoje obowiązki wypełnia rzetelnie. Ma nad sobą zwierzchników, którzy mówią mu, co ma robić, a Los nie ma w nawyku się sprzeciwiać. Podpisuje rozmaite papierki z zatrważającą szybkością. Wydaje mu się, że ten jego niemodny garnitur z wyprzedaży leży na nim wspaniale, a ta jego skórzana teczka! Szczyt stylu i dobrego smaku. A jednak jest biały jak ściana lub czerwony (jak sama nie wiem co), gdy tylko spojrzy na ulicę. Widzi smukłe budynki i ciała o różnych gabarytach. Czuje ścisk w żołądku i kropelkę (lub dwie) potu na karku. On jest tu tylko od podpisywania. Tylko podpisywać potrafi.

A co, jeśli go zapytają: „Jak pan się dostał na stanowisko?”, co wtedy? Albo: „A czy mógłby pan pokazać dyplom ukończenia szkoły?”. I co on wtedy powie? „Ja tu jestem tylko od podpisywania”, ma gorzkie słowa przygotowane w zanadrzu.

Los zna milion plotek na swój temat. „Los ma ze sto tysięcy obliczy”, mówią o nim. Los idzie do księgarni kupić, dajmy na to, książkę kulinarną. Wchodzi śmiało, wychodzi jeszcze śmielej – swoją twarz, swoje imię widzi na każdym kroku. Czeka spokojnie na autobus. Myśli sobie: „Jak to miło! Robota odbębnioma!”, a tu ni stąd, ni zowąd cały motłoch go napada. Chude matki, które to właśnie pochowały swoje dzieci, szarpią go za włosy. Los zastanawia się, kiedy zgodził się na eksterminację istot młodocianych. Jest mu fatalnie głupio. Lata wprawy sprawiły, że w tempie ekspresowym z jego pamięci ulatniają się podpisane dokumenty. Pozostał mu tylko machinalny ruch dłoni, równa parafka.

„Starość miała być lekka”, krzyczą rozmaici dziadkowie i rozmaite babcie pod jego oknami. Los nie śpi po nocach. „Starość miała być lekka”, dudni mu w uszach. Albo ludzie bezrobotni, lub tacy, których majątek rozplątał się. „Mieliśmy mieć dobre, szczęśliwe życie”, dołączają się do całej tej parady, która tłucze w jego drzwi. Mimo to, Los każdego dnia wsiada do autobusu i jedzie do swojego biura, a potem spędza w nim pełne osiem godzin i stawia swoją równą parafkę pod wszystkim, co mu pod nos podsuną. Bo taki już ten Los jest. Kompletnie bezradny.

Los jest godny pożałowania. Tak, tak, można mi nie dowierzać... Bo jak to tak, Losu żałować? Tego okrutnego, bezmyślnego Losu, który na nic nie zważa, który niczego nie ma na pieczy, który o życiu ludzkim rozsądza tak samo, jak wtedy, gdy decyduje o śniadaniu: smażone jajka a może płatki z mlekiem? My jednak, proszę to zauważyć, niesłusznie oceniamy istotę Losu. Los jest bardziej ludzki, niż nam się zdaje, bo przecież sami go sobie wymyśliliśmy i każdego dnia wymyślamy na nowo. Los to nasza wspólna i wielce niefortunna imaginacja. Los siedzi na skórzanym, miękkim fotelu obrotowym nie tylko w mojej własnej głowie, to żadne urojenie, a jedynie nasza metaforyczna rzeczywistość, w której – jak mi się zdaje – poruszamy się z większą biegłością

i większym powodzeniem niż tam, gdzie grunt staje się mało żyzny, a czasem nawet przesiąknięty krwią. W miejscu, gdzie Rzeczywistość upomina się o swoje prawa.

Losem wypełniamy puste przestrzenie. Dni, które ubywają niepostrzeżenie, bez wyrazu, formy, zapachu. Szczęście, którego nie ma. Miłość, której każemy dogorywać, którą wkładamy do tekturowego pudełka i pozostawiamy w piwnicy na pastwę kurzu i szczurów. Łzy tak gęste, że aż przyklejają się do policzków. Wizje świata sprawiedliwego – krótkie momenty, zrodzone w bólach środka nocy, kiedy przychodzi nam do głowy: „A co by było, gdyby tak spróbować być lepszym człowiekiem?”, porzucane nieroztropnie, gdy tylko słońce wzejdzie. To są właśnie puste przestrzenie, odcienie eliminowane z osobistej palety życia. Po dniach ulotnych, szczęściu, którego nie ma, dogorywającej miłości, gęstych łzach, wizjach świata sprawiedliwego nie ma nic, a my niełatwo przywykamy do nicości. Coś musimy zawsze mieć. Dlatego wsadzamy Los w miejsca, które mogły być pełne. Lubimy odsuwać od siebie odpowiedzialność (bo przecież, zaprzeczyć temu nie można, zdarza się nader często, że pustka to decyzja własna, podejmowana z pychą i czołem uniesionym w górę).

Druga strona medalu – cierpienie. Takie cierpienie, od którego ślina w ustach zastyga, mięśnie drżą, obraz rozkłada się na miliard drobin, a człowiek staje się mały i jeszcze mniejszy. Cierpienie w każdym możliwym wymiarze. Los ma w sobie coś spersonifikowanego, wydaje się osobisty. Choć mówi się, że Los jest ślepy, my swoje dobrze wiemy i w jego ślepotę wcale nie wierzymy. Wolimy posądzać Los (pod którego imieniem mogą kryć się z powodzeniem wszystkie inne siły wyższe, jakie jesteśmy sobie tylko w stanie wyobrazić) o wyrachowanie, przebiegłość. Wolimy raczej wierzyć, że świat, Bóg, natura (bo Los można przecież różnie rozumieć) są złe, niż pogodzić się, że to tylko przypadek, jakich nieskończenie wiele zdarza się na przestrzeni wszechświata, zrujnował nasze życie. Tymczasem Losowi (Bogu, światu, naturze) nic do tego, co Przypadek poczyna sobie z nami. Na Przypadek nie ma rady.

Może, jeśli się głębiej zastanowię, dojdę do tego, że Przypadek wcale nie jest przypadkowy. Najpierw był krok w przestrzeń nieokreśloną, głuchą i ciemną, fundamenty uporządkowanej rzeczywistości zatrzęsły się i człowiek wylądował na zgłiszczach niewiadomego świata. W Niewiadomym Świecie każdy chaotyczny krok ludzki i szamotanina z powszechną niewiadomą generują kolejne nici, które razem tworzą sieć. Z tej sieci tworzy się nieprzypadkowy Przypadek, który tak dalece jest poplątany, że łatwiej uznać, że w ogóle nigdzie się on nie zaczyna i nigdzie nie kończy; niepodobna byłoby się w nim rozeznaczyć. Ponieważ jednak chciałoby się nam realizować świat na starych zasadach, powstałych wówczas, gdy jeszcze wszystko było wiadome, rzadko w Przypadek wierzymy. Obwiniamy Los.

A co z przychylnością Losu? Los nie jest właściwie ani nikomu przychylny, ani nieprzychylny. W sensie ścisłym, on nie istnieje. Przychylność Losu to również termin niezbyt doprecyzowany. We współczesnym świecie niesłuchanie

wieloznaczny. Istnieje przecież niebywały natłok wszystkich rzekomych przychylności Losu, a może ledwie kilka z nich ma cokolwiek wspólnego ze szczęściem.

Mimo to, poszukiwanie szczęścia („przychylności Losu”) to rzecz wybitnie ludzka, to odwieczne i podstawowe pragnienie, silnie zakorzenione w naszej naturze. Bierzymy szczęście za coś, co można byłoby dostać w prezencie, który w wigilię Bożego Narodzenia znajduje się pod choinką. Bierzymy szczęście za kupon wygrany na loterii. Tymczasem szczęście, proszę mi wierzyć na słowo, niewiele ma z Losem wspólnego. Szczęście patrzy na Przypadek z góry, z uprzywilejowanej pozycji, z piedestału. O ile postaci Przypadku są nieobliczalne, a Los to figura efemeryczna i niejasna, o tyle Szczęście samo w sobie jest już „pomnikiem trwalszym niż ze spiżu”. Szczęście jest niestrudzone, ciche i spokojne. Z pokorą przeciwstawia się całemu temu galimatiasowi Niewiadomego Świata, z błyskiem ironii w oku spogląda na wszędobylski zamęt i nic sobie z niego nie robi. To jest pewien stan ducha, pewna formacja psychiczna, która nie opuszcza człowieka nawet w chwilach największego smutku i najgłębszego cierpienia. Takie szczęście to jest właśnie „przychylność Losu”.

Może i nie mam szczególnego pojęcia o bólu (przyznaję się bez bicia) i nie wiem, jak to jest, gdy człowiek staje się mały i jeszcze mniejszy, a całe jego jestestwo zamyka się w drzeniu i krwi, która nie potrafi się zdecydować, czy napływać, a może definitywnie odpływać z policzków. Za to o szczęściu, jak mi się zdaje, wiem coś niecoś. Szczęście to jedna z tych powszednich decyzji, do których nie przykładamy specjalnej wagi. Szczęście to pełnia zamiast pustki (niepozwalanie na to, aby miłość dogorywała samotnie w pudełku, a dni zamykały za sobą drzwi tak cicho, jakby szeptem, pomiędzy skrzydłem a framugą). Szczęście to może jeszcze umiejętność milczenia i patrzenia, rozsądnego korzystania ze swoich zmysłów. Szczęście – wspinaczka na szczyt (koszula mokra od potu, wypita butelka wody, spalone słońcem policzki), a potem spojrzenie w dół, na miasteczko, drogę, mikroskopijne auta i ludzi (mrówki). Jakie to wszystko jest z góry małe i śmieszne!

Patrzeć na życie tak, jak robi się to ze szczytu góry – to jest właśnie przychylność losu, to jest szczęście. Małość i śmieszność ludzkich bolączek wcale nie dyskredytuje (o czym na szczycie góry wie się zawsze doskonale) piękna świata i tego, że życie jest bez wątpienia warte swojej ceny. Dlatego raz na zawsze należy odsunąć od siebie mgliste majaczenia o tym „co by było, gdyby...” i wziąć odpowiedzialność za swój własny los (który w takim jego rozumieniu nie zasługuje już na wielką literę) i swoje własne szczęście.

Oliwia Frueauff

* * *

W dzisiejszym otaczającym nas świecie można dostrzec wiele pozytywnych cech sprawiających, że nasze życie jest dużo bardziej komfortowe od życia ludzi wiele lat temu. Wydawałoby się, że mamy już wszystko, a problemy, z którymi przychodzi nam się zmierzać są prozaiczne. Jednak czy w takim, niemal idealnym świecie naprawdę możemy być szczęśliwi?

Pojęcie szczęścia samo w sobie stawia wiele pytań, na które niełatwo udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Czym jest to szczęście, do którego tak bardzo dążymy? Wydawać by się mogło, że jest to kwestia indywidualna i każdy rozpatruje ją na swój sposób. Jednak w drodze do idealnego, beztroskiego życia, wspólnym mianownikiem dla wszystkich ludzi jest zwyczajna możliwość bycia sobą. Tak rzadko doceniane szczerść i autentyczność wydają się być kluczem do tego, co dla wielu ludzi jest wręcz niedoścignione. Postęp technologiczny, podczas którego przyszło się wychowywać mojemu pokoleniu, wniósł wiele zmian do dotychczasowego życia ludzi. Zazwyczaj wspomina się o niezliczonych udogodnieniach, jakich dostarcza nam szeroko pojęta technologia i trzeba przyznać – jest to ogromny sukces w dziejach ludzkości. Jednak problem tkwi w tym, że mając tak wiele możliwości, ludzie nauczyli się je wykorzystywać w zły sposób. Szkodliwy sposób.

Tym, co zdominowało nasze codzienne życie, są wszelkiego rodzaju media społecznościowe. Myśląc o nich, zazwyczaj wyobrażamy sobie tych nadzwyczajnie pięknych ludzi, idealnie symetryczne twarze, cudowne krajobrazy, bogatych celebrytów i reklamy nowych samochodów, kosmetyków czy ubrań. Otaczając się wyidealizowanymi obrazami, zapominamy o prawdziwej rzeczywistości. Powracając do tematu szczęścia, jak mamy być szczęśliwi, podczas gdy nasze życie kręci się wokół nieosiągalnych i nierealistycznych celów?

Ludzie zatracili w sobie umiejętność bycia sobą, podążają za pewnymi szablonami narzucanymi przez media. Większość nastolatków kreuje swoją osobowość na podstawie wzorców czerpanych z Internetu. Tak samo dzieje się w przypadku stylu ubioru oraz wyglądu fizycznego. Oczywiście problem ten nie dotyczy jedynie młodzieży. Coraz częściej można zauważyć dorosłych, którzy nie oddalają się na krok od swoich telefonów. Taka rzeczywistość prowadzi do wielu poważnych konsekwencji. Przede wszystkim w ludziach zabijana jest wszelka indywidualność. Każdy, kto jest inny, uznawany jest za gorszego, gdyż nie pasuje do żadnego modelu proponowanego przez media. Ludzie, którzy w końcu zdają sobie sprawę, że znajdują się na marginesie systemu wykreowanego przez wirtualną rzeczywistość, rozpoczynają proces zmian na wielu płaszczyznach. Pierwszą z głównych i najczęściej zdarzających się

przemian są te, dotyczące wyglądu fizycznego. Wiele osób poddaje się szeregowi zabiegów i operacji plastycznych, aby dotrzeć do utartego w społeczeństwie kanonu piękna, opierającego się głównie na braku naturalności. Inne zmiany dotyczą charakteru. Nie można zmienić swojego własnego temperamentu, jednak można udawać, że jest się kimś innym – a już zwłaszcza w mediach, gdzie nikt nie jest w stanie zweryfikować naszej prawdziwej tożsamości. Ten schemat, w którym ludzie dążą do pewnych, przyjętych przez ogół społeczeństwa norm, powoduje wiele problemów związanych ze zdrowiem psychicznym. Brak możliwości bycia postrzeganym jako ideał, w nierealnym wirtualnym świecie, prowadzi do zaniżonej samooceny, niepokoju i depresji zarówno u młodych, jak i starszych osób.

Innym skutkiem mediów społecznościowych jest ich wpływ na prawdziwe życie w prawdziwym świecie. Podczas gdy trzydzieści lat temu nie do pomyślenia było samotne siedzenie w domu w wolnym czasie, dzisiaj nikt nie widzi w tym nic nadzwyczajnego. W latach 70. i 80. kontakt między ludźmi był żywy. Dzieci bawiły się na podwórku od powrotu ze szkoły do zachodu słońca, dorośli spotykali się ze znajomymi, sąsiadami. Grano w gry planszowe, w karty i oglądano wspólnie filmy, które nie były tak dostępne jak dzisiaj. Ogółem – spędzano razem czas, obojętne w jakiej formie. Owszem, ludzie nie mieli takich możliwości, jak mają teraz, żyli skromniej i w mniejszym komforcie, jednak mimo wszystko wydaje mi się, że ich życie było szczęśliwsze. Nie byli przytłaczani wymogami świata zewnętrznego każdego dnia, a codzienność była bardziej różnorodna. W dzisiejszych czasach ludzie żyją w ciągłym pędzie, goniąc za właściwie nie wiadomo czym i w jakim celu. Każdy dzień sprowadza się do pracy, telefonu, obowiązków i zmęczenia. A gdzie w tym wszystkim miejsce na szczęście?

Pewna bardzo ważna dla mnie osoba zadała mi kiedyś nad wyraz mądre pytanie, które utkwiło w mojej pamięci i często do mnie powraca. Brzmiało ono tak: „Po co walczyć o dobrą przyszłość, która nawet nie jest pewna, kosztem szczęśliwej teraźniejszości?”. Jak się głębiej zastanowię, to jest to podsumowanie całej rzeczywistości, w której żyjemy. Ludzie podążają za tym, co wydaje się być istotne, co odmieni ich przyszłość. W tej pogoni zapominają jednak o najważniejszej perspektywie czasowej – teraźniejszości. Otaczamy się powtarzanymi ciągle złotymi myślami, takimi, jak „carpe diem”, a nadal głównym obszarem naszych rozważań jest przyszłość. Może gdybyśmy faktycznie czerpali radość z każdego „teraz”, nie martwilibyśmy się tak bardzo o to, czy będziemy szczęśliwi „kiedyś”?

Jednak nawiązując do przyszłości, wyobrażam sobie przełomowy moment, kiedy to skończyłaby się wieloletnia władza mediów społecznościowych, a zaczęłoby się panowanie mody na bycie sobą. Chciałabym, aby po tak długim czasie ludzie w końcu ujrzeli prawdziwe życie poza szklaną bańką telefonicznego ekranu. Miałoby to wiele skutków i prawdopodobnie przez jakiś okres na świecie panowałoby duże zamieszanie. Jednak wyobrażam sobie taki

dzień, w którym ludzie są przyzwyczajeni do życia w zwyczajnej rzeczywistości, a cała wirtualność odeszła w otchłań zapomnienia. Ludzie byłiby skazani na siebie i kontakt z drugim człowiekiem byłby nieunikniony. Może w końcu relacje międzyludzkie wróciłyby na dawne tory? Nie mając możliwości ucieczki w ekran telefonu, prawdopodobnie ludzie znowu by się ze sobą spotykali, możliwe, że poznaliby swoich sąsiadów, na których nie zwracali uwagi przez tyle lat. Dzieci z nudów wychodziłyby spotkać się ze znajomymi, pograć w piłkę, posłuchać wspólnie muzyki, byle tylko nie siedzieć samemu. Młodzież samodzielnie kreowałaby swoją osobowość, każdy starałby się być wyjątkowy na własny sposób.

Oprócz tego nie byłoby tak wielu wymagań ze strony społeczeństwa. Z racji, że zniknęłyby wyidealizowane obrazy, które otaczały ludzi przez całą dobę, model ideału uległby drastycznej zmianie. Możliwe, że wielu ludzi przestałoby dążyć do jednego konkretnego kanonu piękna, gdyż takowy nie byłby utrwalany w ludzkiej pamięci każdego dnia. Widząc zwyczajne osoby wokół siebie, piękno wróciłoby do poziomu naturalności, która jest najładniejszą ze wszystkich form piękna.

Kolejnym pozytywnym skutkiem takiego biegu zdarzeń byłoby zmniejszenie możliwości oceniania innych w sposób właściwie anonimowy. Ludzie, aby kogoś skomplementować lub obrazić, musieliby stanąć przed kimś i wprost wyrazić swoją opinię, co zredukowałoby znaczącą ilość obelg, jaką słyszy się od bliższych i dalszych znajomych. Oprócz tego dzielenie się swoim życiem byłoby możliwe tylko za pomocą żywej rozmowy z drugim człowiekiem, a nie dzięki szerokiemu zasięgowi mediów. Prawda jest taka, że ludzie, zanim powstały media społecznościowe, nie wnicali tak w prywatne sprawy innych osób, gdyż zwyczajnie ich to nie interesowało. Kiedy jednak media zaczęły żyć najmniej istotnymi aspektami, wszystko się zmieniło. Wraz z eliminacją wirtualnej rzeczywistości to zainteresowanie prawdopodobnie wróciłoby do niskiego poziomu, dzięki czemu ludzie mieliby większą swobodę i wolność w podejmowaniu decyzji, gdyż nie wiązałoby się to z niemal natychmiastową oceną innych osób.

Staram się walczyć o szczęście w każdej sekundzie, cieszyć się z prostych rzeczy, ale „tu i teraz”, a nie gdzieś w odległej przyszłości. Jednak jeśli byłoby mi dane dożyć czasów, w których ludzie będą mogli być sobą, a media społecznościowe zakończą lata swojej świetności i zostaną jedynie wspomnieniem starszych pokoleń, mogłabym osiągnąć pełnię szczęścia. Chciałabym żyć w świecie, w którym wszyscy byliby autentyczni i prawdziwi, w zgodzie sami ze sobą. W świecie, gdzie ludzie nie oceniają się wzajemnie, a przede wszystkim darzą się szacunkiem. Dużo łatwiej by się żyło, gdyby ludzie nie tworzyli między sobą żadnych podziałów i tolerowali wszystkie grupy społeczne, niezależnie od koloru skóry, orientacji seksualnej czy religii. Każdy powinien mieć prawo do bycia sobą. Chciałabym też, aby społeczeństwo w końcu zaakceptowało obecność osób niepełnosprawnych, gdyż wszelkie

choroby są ludzkie i nie sprawiają, że ktoś niewidomy czy poruszający się na wózku jest gorszy. Każdy jest takim samym człowiekiem jak reszta zwyczajnych ludzi i powinien być traktowany tak samo – z szacunkiem. Takie warunki społeczne byłyby podstawą idealnego dnia, w którym bez codziennego pośpiechu, robiłabym to, co sprawia mi największą radość.

Uważam, że każdy powinien walczyć o swoje szczęście i dążyć do spełniania marzeń. Wszyscy mamy jedno życie, dlatego każdego dnia należy robić to, co może przybliżyć nas do wyznaczonych celów. Czasami warto też zadać sobie pytanie: „Co chciałbym/chciałabym dzisiaj zrobić, jeśli byłby to ostatni dzień w moim życiu?”. W ten sposób, wypełniając codzienne obowiązki, dużo łatwiej jest robić rzeczy, które sprawiają nam radość. Wykorzystując każdy dzień najlepiej, jak tylko potrafimy, zbliżamy się do pełni szczęścia, do której przecież wszyscy dążymy.

Szczęście jest pojęciem względnym, jednak wszyscy powinniśmy walczyć o jak najlepsze „dzisiaj”, być sobą na tyle, na ile tylko możemy, szanować innych ludzi i nigdy, nigdy nie porzucać swoich marzeń, gdyż to one napędzają naszą motywację i pozwalają realizować cudowne cele.

Sandra Sutor

ZA ROK MOJA ODPOWIEDŹ BĘDZIE INNA

Szczęście definiujemy, jako rodzaj przyjemnego, głębokiego przeżycia, które Boecjusz nazwał stanem doskonałym przez to, że „łączy wszelkie dobra” (ale o jakie rozumienie dobra chodzi, tego starożytna definicja tej emocji nie przedstawiła). Nie jestem zwolenniczką eudajmonii, ponieważ szczęście nie jest jedynym i niezmiennym celem mojego życia, gdyż na każdym jego etapie rozumiem i odczuwam je odmiennie. Oczywiście należy spojrzeć na pojęcie szczęścia personalnie, ponieważ każdy człowiek jest inny i inaczej percypuje bodźce. Na przykład dla mojej siostry skok ze spadochronem będzie niezapomnianym wspomnieniem, natomiast dla mnie również byłoby to niezapomniane, ale w negatywnym tego słowa znaczeniu. Prawdopodobnie po drodze przemyślałabym całe swoje młode życie, a po udanym lądowaniu serce przez następny tydzień skarżyłoby się na spektakularny wzrost ciśnienia. Podsumowując, siostra wracałaby do tego dnia z uśmiechem, a ja ze skrętem żołądka.

Jak różni bywają ludzie, tak mają oni odmienne osobowości, więc każdy z nas może przedstawić własną definicję szczęścia. Według psycholog Sonji Lyubomirsky jest to „doświadczenie radości, zadowolenia i dobrego samopoczucia, połączone ze świadomością tego, że nasze życie jest dobre, wartościowe i ma sens”. Myślę, że to zadowalające przedstawienie owego stanu,

dlatego, że łączymy go z miłym doświadczeniem, które odbieramy pozytywnie, bo wywołuje w nas radość. Czujemy, że stać nas na więcej i nie możemy się doczekać tego, co spotka nas jutro. Właśnie takie emocje czułam, gdy – po długich namowach z mojej strony – rodzice zgodzili się puścić mnie z rodzeństwem do rodziny w Norwegii. Po tygodniu, wspaniale spędzonym wśród tak innych od tych, które znam na co dzień widoków, pozostawałam w euforii jeszcze długo po powrocie do kraju. Byłam ciekawa, co jeszcze może spotkać mnie w przyszłości, gdzie jeszcze pojadę, kogo poznam, czego się nauczę. Pozytywnie podchodziłam życia.

Ale czy ten wyjazd mogę nazwać najszczęśliwszym dniem?

Myślę, że inne moje doświadczenia byłby o to utytułowanie zazdrosne, ponieważ był to tylko tydzień spędzony za granicą. Prawdopodobnie inne chwile przepychałyby się w mojej głowie i przekrzykiwały, uwydatniając swoje walory.

Najszczęśliwsze dni mogą się nimi stać dopiero po czasie. Co z dniem, gdy nauczyłam się jeździć na rowerze? Pamiętam to doskonale. Mówią, że wspomnienia z czasem zanikają, ale tamten dzień pamiętam, jakby to było wczoraj. Po miesiącach jazdy, poprosiłam tatę, żeby odkręcił boczne kółka w moim rowerze. Oczywiście nie był do tego przekonany, ale widocznie suszyłam mu głowę wystarczająco, aby moją prośbę spełnił. Dopiero w tamtym momencie zdałam sobie sprawę, że przypuszczalnie byłam zbyt pewna siebie. Utwierdziła mnie w tym również pierwsza wywrotka. Byłam jednak bardzo upartym dzieckiem, co dziś mnie zadziwia i prawdopodobnie powinnam się uczyć od małej siebie hartu ducha. Po pierwszym upadku zaliczyłam setki kolejnych. Poznałam bliżej żwirowy podjazd przy naszym domu oraz ulubione żółte krzaki mojej mamy. Nad zdartymi łokciami i kolanami płakałam jeszcze przez kolejne dni, ale rodzice dzielnie znosili moje zniszczone spodnie, wyciąganie żwiru z ran i trzymanie roweru przy starcie oraz to, że w najbliższym czasie trzeba było go odmalować. W końcu się udało. Pobiełam do domu i zachwyciłam się tym sukcesem przez dobry tydzień. Cieszyłam się, że na wycieczkach rowerowych nie będę już siedzieć w siodełku u rodziców, tylko sama zacznę pedałowac. Miałam poczucie, że to osiągnięcie otworzyło przede mną wiele nowych możliwości. Dziś wspominam ten dzień z wielkim uśmiechem; nawet jeśli przy tej nauce nabawiłam się paru blizn, to cieszę się, że się nie poddałam i sobie poradziłam.

Natomiast już teraz przekrzykuje się we mnie myśl: a co z poznaniem przyjaciół? Co z dniami, w których poznałam najbliższe mi osoby, w których towarzystwie nie wstydzę się zachowywać dziwnie? Nie sądziłam na przykład, że moją późniejszą powierniczką sekretów i słuchaczką narzekań oraz ekscytacji spowodowanych pierwszą miłością będzie czarnowłosa dziewczynka z przedszkola, która wtedy ciągle zapominała moje imię i każdego kolejnego dnia musiałam przedstawiać się jej na nowo. Nawet nie wiem, kiedy wśród dorosłych zyskałyśmy miano: „papużki nierozłączki”, a wieczorami

dzwoniłyśmy tylko z krótkim: „miłych snów” na dobranoc. Nie miałam też pojęcia, że tak bardzo zaprzyjaźnię się z chłopakiem, który podczas moich wakacji u babci podszedł do mnie i mojej siostry na placu zabaw i zapytał, czy umiemy robić wianek. Chłopaka, z którym teraz rozwijamy swoje zainteresowania i uczymy się świata i siebie każdego dnia z równym zachwytem i zdziwieniem. Dzięki niemu poznałam i spróbowałam wielu nowych rzeczy, przy okazji nie wstydząc się również mówić o swoich najnowszych, choćby najdziwniejszych pasjach. To sprawia, że cokolwiek zaczynamy, nie jesteśmy w tym sami, a wrażeniami możemy się dzielić bez obaw, że zanudzimy się wzajemnie. Te dni dopiero po pewnym czasie – z dystansu – mogę określić, jako pozytywne, ponieważ gdyby nie to, jak potoczyły się te relacje, to prawdopodobnie tamte wydarzenia byłyby tylko przypadkowymi epizodami w moim życiu – wyblakłym wspomnieniem o zapominalskiej dziewczynce i chłopcu chcącym wianek z kwiatów, o którym pewnie po dłuższym czasie zapomnielibym całkowicie.

Nie mogę również zapomnieć o dniu, w którym poznałam BTS. Już wcześniej nazwa zespołu czy pojedyncze piosenki obijały się mi o uszy. Dopiero tego jednego dnia po natknięciu się na komentarz, w którym fanka dziękowała im za stworzenie kampanii Love Myself, zagłębiałam się w ten świat muzyki, czytając różne artykuły czy fanowskie portale oraz słuchając piosenek. Jestem wdzięczna temu przypadkowi do dziś, ponieważ dzięki ich twórczości już nie płakałam sama, bo rozmawiali ze mną przez swoją muzykę. Wtedy też stałam się częścią fandomu, dzięki któremu zobaczyłam, że jest wielu ludzi podobnych do mnie i nie muszę się oglądać na zdanie innych. Pokazał mi, że świat nie musi być od nas tak oddalony, jak mogłoby się wydawać – możemy być ze sobą blisko nawet nie znając się osobiście. Z perspektywy czasu dostrzegam, ile kolorów wniosło to do mojego życia. Świat to już nie tylko czarny i biały, ale paleta barw, do której każdy może coś dodać. To dla mnie wiele znaczy i po prostu otwiera umysł na inne ważne rzeczy, ponieważ wyszłam z przysłowiowego „pokoju” i otworzyłam się na ludzi i ich historię.

O uwagę ubiegają się również dni, które może nie mają takiego echa do dziś, jak nauka jazdy na rowerze, dzięki której teraz mogę swobodnie korzystać z tego środka transportu, czy dziwne i niepozorne dni, które stały się początkiem kilku wspólnie przeżytych lat w przyjaźni.

Mam na myśli na przykład dzień, kiedy byłam z przyjaciółką na festiwalu, na którym swój koncert miał lubiany przez nas wykonawca. Godziny śpiewania i tańczenia, zakończone jedzeniem pizzy na trawniku z dala od tłumu i to wspaniałe uczucie bez troski i spełnienia, ponieważ zrealizowałam moje tamtejsze marzenie, które teraz nazwałabym po prostu marzeniem z dzieciństwa.

Z wiekiem zmieniają się nie tylko marzenia, ale również nasze rozumienie szczęścia. Gdybym jako dziecko miała opisać, jak wyglądałby mój najszczęśliwszy dzień, powiedziałabym, że zacząłby się od oglądania bajek na kanapie, ubrania się do przedszkola według mojego gustu i zakończył

na zjedzeniu pudełka lodów na huśtawce w ogrodzie oraz złapaniu w międzyczasie kilku biedronek. Później pewnie byłby to dzień bez szkoły i kupienie zapasu książek na najbliższy rok. Myślę, że z roku na rok wyobrażenie tego dnia zmieniałoby się diametralnie, ewoluowałyby również moje preferencje i zainteresowania. Wydarzenie, które wtedy uważałam za najbardziej emocjonujące prawdopodobnie w następnym roku zostałoby zastąpione jakimś innym. Na moje postrzeganie szczęścia również wpłynął dzień, dzięki któremu teraz piszę tę pracę. Prawdopodobnie gdyby nie moja polonistka z podstawówki, to żadne moje opowiadania czy wiersze nie wyszłyby z przysłowiowej szuflady lub zginęłyby między stronami podręczników szkolnych. W tym czasie za szczęście uważałam skuteczne omijanie odpowiedzi z matematyki, a po lekcjach ceniłam sobie szansę posiedzenia z przyjaciółmi nad rzeką. Przez dziwne zrządzenie losu ówczesna polonistka natknęła się na nabazgrany na wysłużonej kartce fragment mojego opowiadania, który pewnie napisałam poświęcając którąś z lekcji fizyki. Tak zaczęła się moja historia z pisanem i pierwszy konkurs literacki. Do dziś mam to opowiadanie, ale jeśli ktoś znalazłby go w mojej szafce – wyparłabym się autorstwa. Od tamtego czasu mój udział w konkursach nie wynikał z grzeczności, jak to miało miejsce w większości przypadków, ale naprawdę dobrze się przy tym bawiłam i cieszyłam, że znalazłam coś, w czym jestem dobra. A raczej powinnam powiedzieć, że stało się to dzięki wierze mojej polonistki we mnie.

Natomiast dziś prawdopodobnie, gdybym miała odpowiedzieć na pytanie o wyobrażenie najszczęśliwszego dnia, nie umiałbym go określić. Z jednej strony chciałabym, aby zawierał w sobie spełnienie marzenia, jak pójście na koncert BTS czy zwiedzenie innych krajów. Z drugiej – musiałby uwzględniać czas z moją rodziną oraz z przyjaciółmi czy spokojne czytanie książki w kącie pokoju. Obawiam się, że połączenie tego wszystkiego w jeden dzień nie byłoby możliwe na tyle, by w pełni, bez wątpliwości nazwać dany moment chwilą szczęścia. Dlatego wyobrażenia najszczęśliwszego dnia wolę nazywać planami, a opinie wyrazić z dystansu czasowego. Ponadto uważam, że pytanie o najszczęśliwszy dzień jest nie fair. To jak zapytanie rodzica o jego ulubione dziecko – każde jest inne, ale równie wyjątkowe. Tak samo mnie jest trudno wybrać wspomnienie, które mogłabym wznieść ponad innymi.

Szymon Czardybon

SZCZĘŚCIE, ZNALEZIONE POD MIZERNOŚCIĄ AUTOBUSOWEGO PRZYSTANKU

Późny wieczór, przelewający się leniwie w noc. Rozlane na czystym od chmur niebie ciemnoniebieskie akwarele, rozświetlane uśmiechem zawieszonego na nim księżycy. Odcienie pomarańcza, w których zatopione było wnętrze jadącego przez mrok autobusu, odbijające się w jego przejrzystych szybach. Wsiadając, czułam na sobie wzrok już znajdujących się w nim ludzi, trochę ciekawskich, trochę niechętnych – nie zrobiło to na mnie jednak żadnego wrażenia. Zająłam jedno z wolnych miejsc i oczy, które chciały zalać się „niedowierzającymi” łzami, skierowałam na niepozorną sylwetkę równie niepozornej osoby, która siedząc na miniaturowym wręcz przystanku, machała mi powoli na pożegnanie. Jej kolory pochłaniane były jednak przez gęste krople padającego deszczu, mieszając się i niknąc w tej barwnej iluzji. Westchnęłam, wciąż nie do końca pewna, czy to naprawdę nie był po prostu sen; pojazd zabierał mnie gdzieś w nieznane, a ja nie miałam nic przeciwko temu. Słońce zaszło, będąc właśnie świadkiem dnia, którego nie mogłam nazwać inaczej, niż po prostu „najszcześniejszym w całym moim życiu”.

Ten dzień, o którym chciałam tutaj napisać, już parę miesięcy wcześniej zaznaczony był w moim kalendarzu wielkim, czerwonym kółkiem – oznaczał on bowiem datę przeprowadzki mojej przyjaciółki za granicę, a co za tym idzie moment, od którego minie najpewniej mnóstwo czasu, zanim ponownie zobaczę ją twarzą w twarz. Nie chodziło jednak o same spotkania, a bardziej wszystko inne, związane z tak drastyczną zmianą środowiska. Strasznie bałam się, że prędzej czy później kontakt między nami się urwie, kółka wspólnych znajomych zmniejszą, a pula łączących nas tematów skurczy. To naturalna rzecz, której należy się spodziewać po tego typu wydarzeniach. I chyba to przerażało mnie najbardziej; że jest to praktycznie kompletnie poza zasięgiem naszej niewielkiej i dość iluzorycznej kontroli. Mimo całych moich starań jedynie cud mógł długofalowo uratować naszą relację. A ja powoli zaczynałam przestawać w niego wierzyć.

Wsiadając do autobusu mającego zawieść mnie na miejsce naszego ostatniego spotkania, które zbiegiem okoliczności wypadło akurat w dzień jej wylotu z Polski, nie wiedziałam, czego właściwie mam się spodziewać. Ale to, co nastąpiło w przeciągu kolejnych paru godzin od opuszczenia pojazdu na odpowiednim przystanku, kompletnie przerosło moje wszelkie oczekiwania. Przywitane przez niemrawy deszcz, który wkrótce zamienił się w agresywną ulewę, niespiesznie przemierzałyśmy nasze rodzinne miasto, dyskutując i wspominając. W powietrzu unosiła się lekka, lecz wyczuwalna atmosfera pewnej ostateczności, świadomości, że obie przechadzamy się właśnie po samej

krawędzi otchłani zmiany tak głębokiej, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyliśmy; stapałyśmy po niej bardzo ostrożnie, przywołując stare, dobre wspomnienia, a te niekoniecznie pozytywne wyśmiewając, wskazując, jak niesamowicie marne, odległe i odseparowane od obecnej rzeczywistości były. Strata wszelkiego rodzaju ma niesamowicie potężną właściwość, mogącą umieścić dowolną rzecz w dowolnej perspektywie, czy to ją wyolbrzymiając, czy umniejszając. I tamtej nocy odczułam to niezwykle mocno. Skulone pod niewielkim autobusowym przystankiem, czekając na spóźniający się, mający zabrać mnie do domu pojazd, patrzyłyśmy na rozświetlaną sztucznym oświetleniem szarość naszego miasta. Dla mnie teraźniejszości i przyszłości, dla niej już praktycznie przeszłości. Opowiadała, jak niektóre rzeczy wyglądają tam, w Holandii, jej ziemi obiecanej, gdzie wszystko miało wreszcie zjechać na dobre tory. Jej ton, choć optymistyczny, zawierał w sobie nieco nostalgii i tęsknoty, które widocznie już zaczynały kwitnąć w jej sercu. Przytakiwałam, wypatrując autobusu, który mógł pojawić się na horyzoncie w każdej chwili. Nie chciałam, by rujnował ten moment, by rozdzielił nas ten ostatni już raz. Ale rzeczywistość, jak ma już w zwyczaju, nie posłuchała. „Nie narzekałabym, jeśli jeszcze dłużej by się spóźniał” – powiedziała, gdy ja spojrzałam w jej oczy, chcąc się pożegnać. Wszystko dalej, cała reszta tej splamionej deszczem nocy była pokryta mgłą, którą te słowa spowiły mój umysł. I dalej, do dzisiaj, czasami odbijają się echem, gdzieś z tyłu mojej głowy.

W tamtym dniu, w tamtej chwili, poczułam się ważna. Doceniona, lubiana, zauważona. Miałam prawdziwy i namacalny dowód, że moje uczucia względem kogoś były chociaż częściowo odwzajemnione. A to poczucie więzi z drugim człowiekiem, płynące z rozmów radości i najzwyczajniejszej w świecie przyjemności pochodzącej z przebywania w swoim towarzystwie, wypełniało mnie szczęściem, którego nie da się osiągnąć w żaden inny sposób. Ostrożnie kartkuję katalog najszcześniejszych wspomnień, które udało się zarejestrować mojej pamięci i klaruje mi się z nich pewna, dość jasna zależność – w każdym z nich występują ludzie.

Piszę od lat i tak naprawdę moim pierwszym prawdziwym marzeniem było napisanie swojej pierwszej książki. A gdy już udało mi się to osiągnąć, poprzeczka podwyższyła się nieco i cel zmienił się na zostanie zawodową pisarką. Taką, która może utrzymywać się jedynie ze swoich prac, nie musząc martwić się specjalnie swoją finansową sytuacją. Bardzo kocham pisać i staram się oddawać się temu przynajmniej raz, dwa razy dziennie, nie wliczając w to oczywiście niezliczonych okazji, w których pozwalam moim myślom uciec ku ekscytującym wyobrażeniom dziejących się na zadrukowanych kartkach historii, które planuję powołać do życia. To coś, co jak naprawdę mało co jest w stanie wypełnić mnie tak głęboką radością i satysfakcją, zbliżając mnie tym samym do tego ostatecznego celu życia – szczęścia. Jednak, jak przekonywałam się niejednokrotnie, samo to nie było w stanie całkowicie, samodzielnie mi go zapewnić. Weekendy często spędzam sama, oddając się twórczej pracy,

wyciszając się i próbując złapać oddech, przygotowując się na czekający tuż za rogiem kolejny tydzień wytężonej, szkolnej pracy. I chociaż oczywiście zajmuję się wtedy tym, co prawdziwie lubię i kocham, zawsze mam wrażenie, że czegoś brakuje, że cała ta układanka potrzebuje jeszcze jednego, bardzo istotnego elementu – zionącego bolesnym brakiem swej prezencji niczym wisienka, skradziona tuż przed podaniem urodzinowego tortu. Trochę zajęło mi odkrycie, czym to coś właściwie jest, ale mam wrażenie, że wreszcie doszłam do prawdy – to oczywiście ludzie. Gdy czasami uda mi się z kimś umówić, a w samotności tych dwóch dni pojawi się kilkugodzinna wyrwa, mam wrażenie, że wszystko jest już na swoim miejscu. Że mogę, chociaż chwilowo, spocząć, bo większego szczęścia nie uda mi się już uzyskać – nawet jakbym się nie wiem jak starała.

Wracając jeszcze raz do tamtego, dość pamiętnego dnia – autobus, do którego wsiadłam wywiózł mnie gdzieś daleko, w nieznane mi tereny, wypuszczając mnie w końcu na przystanku, którego enigmatycznie brzmiąca nazwa nie mówiła mi kompletnie nic. Wciąż otaczała mnie cała kurtyna intensywnie padającego deszczu, więc ubrania, które miałam na sobie całkiem przemokły. Włosy, które zamieniły się w ociekającą wodą, bezkształtną masę rozlaną na mojej głowie, odmawiały posłuszeństwa, a zmęczone długimi wędrówkami i przesiąknięte zimnem nogi powoli dawały znać, że zaraz osiągną swój limit. Nie do końca wiedząc, co ze sobą zrobić, szłam przed siebie, w kierunku światła ulicznych lamp, licząc że trafię na inny przystanek, taki, który pozwoliłby mi choćby zbliżyć się do mojego domu. Samochody przejeżdżały po ciągnącej się tuż obok mnie uliczce, rozpraszając ciemność intensywnością blasku swoich przednich lamp. Przyglądałam się im, bo zdawało mi się, że czułam na sobie ich wzrok. Wzywały mnie do czegoś, czytały mi w myślach i entuzjastycznie wołały „tak!”. Wciąż powtarzając w myślach te kilka słów, które od niej usłyszałam, rozmyślałam o tym, czy naprawdę aż tak wielką stratą dla mojego życia byłoby, gdybym właśnie teraz po prostu je zakończyła. W końcu osiągnęłam już szczyt, pewnie nigdy już nie poczuję się równie dobrze co tamtego, późnolipcowego wieczora, spędzonego pod osłoną miniaturowego autobusowego przystanku. Oczywiście tego nie zrobiłam i nawet nie przeszło mi przez myśl, by naprawdę tego spróbować. Po prostu uderzyło mnie, jak niesamowicie ważny ten dzień będzie dla reszty mojego życia – a zrozumiałam to już wtedy, wciąż jeszcze czekając, aż wschodzący na nieboskłon księżyc oficjalnie go zakończy. W końcu jednak sylwetka malującego się w oddali autobusu brutalnie rozproszyła te myśli. Szłam więc dalej, w kierunku emitowanego przez niego światła. W kierunku życia, które chociaż odrobinę przybliżyło się do miana „szczęśliwego”.

Wiktoria Budzynowska

SZCZĘŚCIE, PO PROSTU. JAK WYGLĄDAŁBY NAJSZCZĘŚLIWSZY DZIEŃ TWOJEGO ŻYCIA?

Każdy ma inne spojrzenie na świat i inny sposób jego postrzegania. Mój jest mniej skomplikowany niż większości rówieśników. Moim marzeniem nie jest impreza w klubie, używki czy podróże na drugi koniec świata. Szczęściem jest dla mnie obecność drugiego człowieka, jest to spokojny poranek bez bólu fizycznego i psychicznego, wstanie wyspanym bez podkrążonych oczu, doskonalenie się w pasji i rozwoju osobistym. Są to proste i naturalne, choć tak rzadko dziś spotykane sprawy życia codziennego. Rzadkością jest dobry humor w poniedziałkowy poranek, uśmiech i serdeczność po złym dniu w szkole. Myślę więc, że niewiele trzeba mi do szczęścia, a jednak zwykłe rzeczy to jak zdobywanie Mount Everestu każdego dnia. „Tylko szczęśliwy człowiek może obdarzyć innych szczęściem” – brak pozytywnego myślenia i spełnienia u młodych ludzi jest jedną z największych chorób ludzkości. Mam wrażenie, jakby żaden z moich przyjaciół nie doznał długotrwałej radości, a niewielu z nich mogło poszczycić się krótką chwilą szczęścia. Mimo to właśnie z przyjaciółmi jestem najszczęśliwsza, to oni dają mi radość, poczucie bezpieczeństwa i właśnie z nimi chciałabym spędzić swój szczęśliwy dzień.

Jest wtorek, do pokoju wdzierają się ostre promienie słońca, po śniadaniu biegnę na umówione spotkanie. Nie dbam o to, że jest wcześnie, bo mam dużo energii, którą przeznaczam na dzisiaj. Jest środek lata, więc dzień jest długi i ciepły. Nie mam wielu zmartwień, gdyż szkoła zaczyna się dopiero za miesiąc. Jedyna rzecz zaprzatająca mi głowę to godzina, o której będę musiała wrócić do domu. Moja przyjaciółka, Nikola, czeka na mnie na przystanku i udajemy się do pizzerii. Zamawiamy ulubione połączenie składników i rozkoszujemy się jej smakiem. Później wybieramy się do pobliskiego parku, rozmawiamy, dużo się śmiejemy. Planujemy swój dzień, który chcemy spędzić razem do późnych godzin wieczornych. Spontanicznie podejmujemy decyzję o wyjściu na basen z resztą przyjaciół. Wracamy do domu po niezbędne rzeczy, niedługo spotykamy się z resztą i bawimy się w wodzie. Muzyka kojarząca się z wakacjami i latem głośno gra, a my równie głośno śpiewamy. Wszyscy mają szeroki uśmiech na twarzach, nic więcej niż ta chwila się nie liczy. Po opuszczeniu basenu biegniemy na mrożoną kawę do budki w centrum miasta. Resztę dnia spędzamy w wąskim gronie na miejskiej plaży. Siedzenie w altankach w upragnionym cieniu stało się już tradycją tegorocznego lata. Niestety niedługo później muszę wracać do domu, więc moja przyjaciółka odprowadza mnie na przystanek autobusowy. Żegnam się z nią i chwilę później w słuchawkach rozbrzmiewa moja ulubiona muzyka. Zaczynam tęsknić za dzisiejszym dniem, myśląc, że już się nie powtórzy. Mimo to przypominam

sobie szybko o tym, że przede mną jeszcze dużo wolnego czasu i mogę wrócić do niego nawet jutro. Po powrocie przebieram się w wygodne ubrania, otwieram okno i siadając na parapecie zaczynam patrzeć w gwiazdy. Wyciągam gitarę i cicho brzdąkam jej strunami, żeby nie obudzić rodziny, która już dawno śpi. To jedno z moich ulubionych zajęć, kiedy robi się ciepło i na tarasie mogę położyć się z instrumentem marząc o „niebie”. Później, w środku nocy, zamykam oczy i zasypiam, cicho rozmyślając nad tym, co dziś się działo i czy jutrzejszy dzień będzie równie udany.

Mój szczęśliwy dzień jest przede wszystkim z osobą, którą darzę uczuciem bądź z którą czuję się komfortowo. Z tą ulubioną. Jest to dzień poza domem, w moim ukochanym miejscu, wolnym od zmartwień i codzienności. I to nie tak, że w domu nie mogę czuć się bezpiecznie; po prostu przypomina mi o mizerności każdego dnia. Niektórzy w powszedniości odnajdują spokój, co jest jak najbardziej w porządku i z takiego obrotu spraw można się tylko cieszyć. Jedni odnajdują szczęście głównie w adrenalinie, a drudzy w codzienności pełnej spokoju i stałych przyzwyczajęń. Mój najszczęśliwszy dzień trwałby bez zmęczenia, byłby przepełniony miłością, z której czerpię czystą błogość. Wcale nie wykluczyłabym negatywnych emocji, jak większość. Są one częścią mojego życia, a w swoim radosnym dniu chciałabym być w pełni sobą. Grałaby muzyka odpowiednio dobrana do moich odczuwanych w danej chwili emocji, co nie jest większą abstrakcją, ponieważ towarzyszy mi ona przez większość mojego dnia. Stworzyłabym coś, pod czym mogłabym się z dumą podpisać swoim nazwiskiem. Spędziłabym czas z moimi przyjaciółmi, odwdzięczyłabym się w końcu odpowiednio za ich obecność w moim życiu i wsparcie które otrzymuję. Byłby to dzień bez paniki w sercu i duszy. Chciałabym poczuć się wtedy bezpiecznie i móc dać to bezpieczeństwo innym bliskim. Z całą pewnością zadziałałabym charytatywnie na rzecz przede wszystkim zwierząt, bo one nieraz cierpią bardziej niż ludzie, przy tym nie wykluczając ludzkich potrzeb. W stanie oświecenia z pełnym przekonaniem poradziłabym dobrze swoim najbliższym, którzy potrzebują mojej pomocy, a którą niekoniecznie zawsze mogę im podarować przez to, że sama zazwyczaj potrzebuję rady i nie jestem w stanie funkcjonować samotnie. Symptomy moich chorób byłyby na pewno zneutralizowane do minimum, bo cierpienie z ich powodu jest po pewnym czasie z dnia na dzień bardziej wycieńczające. Poświęciłabym więcej uwagi także swoim pupilom, które są ze mną tylko przez określony czas, a kochają miłością zwierzęcą – bezwarunkową i nieograniczoną. Większość rzeczy składających się na mój beztroski dzień jestem w stanie sobie zapewnić, jednak nie każdą z nich. A to właśnie z mojej perspektywy od nich zależy najwięcej. Wciąż jednak wierzę że „kiedyś znajdzie mnie dobra chwila, która wskaże mój prawdziwy cel”, że kiedyś przeciwności losu przestaną być przeszkodą dla mnie oraz moich najbliższych, a pozostaną tylko progami do ominięcia. Wierzę z całych sił, że czeka mnie jeszcze najszczęśliwszy dzień.

Piszę w jednym ze swoich tekstów – „kwiat szczęścia osobistego” – „na zawsze razem, na przekór każdemu, trwajmy w swoim osobistym szczęściu”, odnajduję spokój w podążaniu swoimi drogami (nawet jeśli jest to wbrew innym ludziom) z osobą darzącą mnie zrozumieniem i chcącą od życia tego samego co ja. Moim szczęściem jest fakt, że po wielu nieudanych próbach znalazłam swoją bratnią duszę. Jesteśmy skrajnie różnymi osobami o wspólnych potrzebach i idealnie się dzięki temu dopełniamy. Z czystego przypadku, nie licząc na żadne szczęście w swoim życiu, trafiłam na anioła, który przywrócił mi wiarę w lepsze jutro. W ten właśnie sposób, od tej jednej czerwcowej nocy, podczas której udało nam się zbliżyć, moje szczęście ma 6 liter. Mój dobrostan zapewnia mi również reszta przyjaciół, doskonałym przykładem są słowa mojej przyjaciółki, które tak bardzo zapadły mi w pamięć, jak żadne inne – „pamiętaj, że bardzo cię kocham, że krzyk jest niemy, a księżyc jeden”. Zmaga się ona z problemami podobnej natury co ja, więc zawsze znajdowałyśmy w sobie nawzajem ukojenie, nawet jeśli trzeba było stawiać czoła prawdzie. Nasz krzyk od zawsze był niemy i dlatego wciąż walczymy dla siebie. Księżyc jest jeden, bo nie mogę widywać jej codziennie. Mimo, że mieszkamy daleko od siebie, patrzymy wieczorami w jedno niebo i mamy nawzajem siebie w głowach.

W jednym ze swoich popularniejszych utworów polski zespół Carrion porusza temat wiary w lepsze jutro i walki z samym sobą. „I znowu łudzę się, czekam na ten dzień, to jeszcze nie koniec, ja to wiem”. Autor łączy ze sobą niebanalnie dwie postawy – optymistyczną i pesymistyczną. Twierdzi, że lepsze jutro i wiara w nie jest jego złudzeniem, natomiast wciąż występuje, jak u optymisty. Tekst ten jest dla mnie dużą motywacją i krokiem do otwarcia oczu na to, jak tak naprawdę wygląda nasze życie, niezależnie od światopoglądu, który przyjmujemy.

Moim zdaniem więc nie w samym pozytywnym spojrzeniu na świat, a również w nieustępliwości, motywacji oraz wierze w siebie leży klucz. Niestety każdy ma inną definicję szczęścia. Według mnie nazwać nim możemy dopiero długotrwałą obecność wszystkich czynników wpływających na rozkwit naszej pomyślności życiowej. Jeśli nie będziemy szczęśliwi i męczyć nas będą stale przeciwności losu, to ciężko będzie nam o choćby jeden, w pełni szczęśliwy dzień.

„Cieszymy się z małych rzeczy, bo wzór na szczęście w nich zapisany jest” – śpiewa znana polska piosenkarka Sylwia Grzeszczak. Wzorem na szczęście według tych słów jest dostrzeganie radości w małych rzeczach, które przytrafiają się nam codziennie. Bo mimo że ktoś może nie do końca być szczęśliwy, zawsze trafi na coś, co będzie odróżniało się od szarej masy przykrych spraw. Może to być w zasadzie wszystko w zależności od człowieka. Uradowanie niewielkim przedmiotem, sytuacją bądź gestem jest już krokiem w przód ku odnajdywaniu szczęścia w ciemnej codzienności i nieprzekłamaną rzeczywistości.

Wspomniałam o tym, że dużą frajdę i spokój jednocześnie daje mi rozwijanie pasji. Radością jest dla mnie wzięcie długopisu do ręki i przelanie myśli na papier, późniejsza satysfakcja z produktywności i możliwości zostawienia czegoś po sobie. Moja mama i jej łzy po zobaczeniu moich prac są szczerym dowodem na włożenie w nie całego mojego potencjału. Są to dla mnie pokaleczone od strun gitary palce i muzyka z niej płynąca. Moim zdaniem zresztą muzyka jest bardzo ważna w naszym życiu, pomaga w wyrażaniu emocji i odzwierciedleniu swojej duszy. Gram i komponuję z czystej przyjemności, pomaga mi to w relaksacji i ukazaniu siebie. Często po skończonych ćwiczeniach uśmiecham się do siebie bądź płaczę, bo to właśnie wtedy, kiedy tworzę coś własnego targają mną najsilniejsze emocje. Wkładam w to całe swoje serce i dlatego właśnie każda działalność każdej osoby jest sztuką. Mniej istotne jest, czy przypada nam do gustu.

Mam charakter indywidualistki, bo jak mówi tekst piosenki Paktofoniki „Ja to ja” – „otoczenie nie działa na mnie zakaźnie, poprzez wyobraźnię kreuję własne ja”. Nie jestem zależna od społeczeństwa i ich przekonań, nie podążam za trendami oraz trudno jest prawdziwej mnie dopasować się do reszty. Swoją radość zatem odnajduje w byciu odmienną, nieraz dziwną. I to zostało poddane próbie diagnozy, bo ciężko jest być innym, bardziej strachliwym, mniej pewnym siebie. Z prób ubliżania mi zawsze starałam się wyciągnąć coś dobrego i zazwyczaj udawało się odnieść z tego korzyści. Moja rzekoma kreatywność też mnie definiuje – „pomysłów u mnie mnóstwo, jak w worku bez dna” – i myślę, że stąd wzięła się moja pasja do amatorskiego tworzenia. Jestem również filozofem przez małe „f”, ponieważ piszę i myślę codziennie na temat ludzkiego życia, sensu naszej egzystencji, otaczającego nas świata. I w poetyckim cierpieniu, które zapewnia myślenie głębsze niż u pospolitego człowieka odnajduję spełnienie. A odkrywanie siebie kawałek po kawałku sprawia mi radość i daje satysfakcję.

Olaf Błażewicz

* * *

Szczęście to pojęcie abstrakcyjne o bardzo indywidualnym charakterze. Można je różnie interpretować i każdy inaczej je odczuwa. Powodem do szczęścia dla kogoś może być sprzyjający zbieg okoliczności, nagłe pozytywne zdarzenie, dobrze wykonane zadanie lub zwykła rozrywka, która przynosi radość. Jest niezliczenie wiele powodów do szczęścia. Czasem jego osiągnięcie jest tym, co motywuje do działania. Na przykład według Arystotelesa szczęście jest czymś, do czego dążyć powinien każdy człowiek i jest celem naszego istnienia.

Dla mnie szczęście jest niezbędne do zdrowego funkcjonowania zarówno indywidualnie, jak i w grupie. Społeczeństwo, a przede wszystkim grono najbliższych mogą pomóc odkryć źródła szczęścia albo dać nam możliwość jego przeżycia. Na przykład osoba, która nigdy nie jeździła na deskorolce, mogłaby znaleźć w jeździe powód do szczęścia, gdyby robiła to ze swoimi przyjaciółmi. Gdy robi się coś, co się uwielbia, wychodzi to o wiele lepiej, a gdy robi się coś z przyjacielem, który jest szczęśliwy i pomocny, trudno jest się zdenerwować lub sfrustrować, że coś nam nie wyszło. Takie właśnie emanujące szczęściem osoby wprowadzają lepszą atmosferę w grupie i często podnoszą morale innych, przegnębionych lub podupadających na duchu.

W dzisiejszych czasach, erze Internetu, młodzi ludzie codziennie widzą idealnych celebrytów, którzy na zdjęciach w mediach społecznościowych wyglądają nieskazitelnie. Dla nastolatków bardzo ważne jest upodabnianie się do takich osób, ponieważ są one wyznacznikiem sukcesu. Młodzież chce wyglądać idealnie, mieć markowe ubrania, wyróżniać się z tłumu. Dla wielu właśnie to oznacza szczęście. Popularność, rozpoznawalność, wielu obserwujących w mediach społecznościowych, pieniądze i wygląd, przez takie standardy wiele nastolatków wpada w depresję, sięga po używki, wykonuje operacje plastyczne lub próbuje zaistnieć wśród swoich rówieśników przy pomocy pieniędzy. Jest jednak wielu takich, którzy znajdują szczęście w spędzaniu czasu z bliskimi im osobami i nie jest tu tylko mowa o rodzinie, ale również o gronie bliskich przyjaciół, zabawie ze swoimi zwierzętami lub graniu w gry wideo. Niestety bardzo niewielu osobom przynosi szczęście nauka i rozwijanie swoich pasji, na przykład w szkole. Wszystko przez niesprzyjający młodzieży system polskiej edukacji, który podcina spragnionym rozwoju skrzydła. Wiele młodych osób przez to niechętnie chodzi do szkoły i edukuje się, bo uważa to za coś zbędnego, uciążliwego, trudnego. Osób szczęśliwych jest coraz mniej, ponieważ wielu ludzi po prostu nie wie, czego chce. Wymagania rodziców, wpływ otoczenia, nawet wiara mogą wpływać na to, jak postrzegamy i traktujemy szczęście. Ludzie nie osiągają swoich celów i nie są z siebie zadowoleni, bo są z każdej strony narażeni na krytykę i brak satysfakcji. Niektórzy nie pozwalają lub przeszkadzają innym w osiągnięciu szczęścia nieumyślnie odradzając im spełniania się w czymś, co sprawia im satysfakcję, radząc im, by skupili się na czymś innym, co nie ma dla nich wartości i nie daje tak pożądanej radości.

Wydaje mi się, że każdy choć raz w życiu stwierdził lub pomyślał, że dany dzień był jego wymarzoną, idealną. Moim skromnym zdaniem, aby dzień był idealny, nie potrzeba aż tak wiele, jak mogłoby się wydawać. Wiele osób, szczególnie młodych, wyobraża sobie swój najszczęśliwszy dzień życia jako święta lub urodziny. Sądzą, że podczas ich najszczęśliwszego dnia mogliby dostać dużo prezentów czy udać się w wymarzoną podróż. Stawiają tym samym bardzo wysoko poprzeczkę, która ma wyznaczać stopień szczęścia. Dla mnie potencjalnym najszczęśliwszym dniem byłby taki ciepły, słoneczny,

przedwakacyjny dzień, w którym wstałbym wcześniej, jeszcze przed własnym budzikiem, jednak byłbym wystarczająco wyspany, żeby zacząć aktywność. Obudziłbym się koło mojego psa, który zazwyczaj śpi w moich nogach, a słońce, jako iż byłoby wcześniej, nie świeciłoby mi prosto w oczy. Byłoby jeszcze lepiej, gdybym nie miał kataru i bólów zatok, bo jestem alergikiem i jest to dla mnie bardzo męczące, szczególnie z samego ranka! Wstałbym powoli z łóżka i udał się do kuchni, gdzie zrobiłbym sobie poranną kawę z mlekiem. Po wypiciu kawy bez pośpiechu udałbym się na poranną toaletę, a może nawet, skoro jest wcześniej, wziąłbym zimny prysznic. Potem ubrałbym się i korzystając ze świeżego, ciepłego rannego powietrza udałbym się na poranny spacer z psem. Po powrocie do domu zjadłbym dobre, pożywne śniadanie i zajął się rzeczami, które zaniedbałem poprzedniego dnia. Spakowałbym się do szkoły i wyszedł punktualnie, bez pośpiechu, na autobus. Po drodze spotkałbym swojego przyjaciela, który również jechałby do szkoły tym autobusem co ja. Kierowca zjawiłby się o czasie i przegadując całą drogę z moim kolegą, dojechałbym pod szkołę bez opóźnień. Wtedy miałbym jeszcze czas kupić sobie coś do picia i dotrzeć przed czasem do szkoły, pod którą czekaliby już na mnie moi koledzy i koleżanki z klasy. Lekcje przebiegłyby dość szybko, jednak przyjemnie. Byłyby interesujące i kończyły się na tyle wcześniej, abym miał jeszcze wiele czasu dla siebie po szkole. Droga w drugą stronę również przebiegłaby szybko, a w domu czekałby na mnie dopiero co ugotowany obiad. Po zjedzeniu i odrobieniu lekcji umówiłbym się ze znajomymi i przyjemnie spędził z nimi czas aż do wieczora. Po powrocie spędziłbym czas z rodziną, może oglądając jakiś film lub serial albo grając w gry komputerowe. Późnym wieczorem, blisko zachodu słońca, zjadłbym ostatni posiłek, zrobił sobie ciepłą kąpiel i poszedł wypoczęty spać w idealnie przewietrzonym, chłodnym pokoju, gdzie szybko zasnawszy zakończyłbym szczęśliwy, moim zdaniem, dzień. Oczywiście ogrom rzeczy sprawiłby, że mój dzień byłby o wiele lepszy, jednak musimy pamiętać o tym, że szczęście nie jest czymś odległym i obcym, lecz czymś, co może nas spotkać w każdy zwykły dzień. Właśnie dlatego jako przykład wziąłem dzień na pozór zwykły, który jednak, dzięki zbiegom okoliczności i sprzyjającemu losowi, mógłby stać się dniem perfekcyjnym, mimo iż nie zdarzyło się w nim nic spektakularnego.

Podsumowując, szczęście jest pojęciem względnym i niedefiniowalnym, jednak bardzo potrzebnym nam wszystkim do właściwego funkcjonowania w społeczeństwie. Szczęście to nasz cel, szczęście to integralna część naszego życia, a jego brak to znak, że coś robimy nie tak, jak powinniśmy. Każdy inaczej je widzi, inaczej za nim goni i inaczej odnajduje. Myślę, że szczęście to priorytet życiowy, który powinien być stawiany ponad pieniądze, sławę czy wygląd. Powinniśmy robić to, co nas szczerze, od serca uszczęśliwia, a nie to, co jest modne i popularne.

SZCZĘŚLIWE ZAKOŃCZENIE

Szczęście, które każdy odczuwa lub do tego dąży jest tak naprawdę zbiorem wartości, jakie dany człowiek jako pojedyncza jednostka wyznaje, jest to tzw. hierarchia wartości. Zatem im coś jest dla mnie ważniejsze, tym więcej euforii mi przynosi, jeśli oczywiście los temu sprzyja.

Patrząc na długie dzieje całej ludzkości, los istnieje podobnie jak historia od zawsze. Już w starożytności filozofowie debatowali nad tym terminem, jednak nadal trudno podać jego jednoznaczną definicję, będącą w pełni wystarczającą, chociaż można zauważyć, że im bardziej zagłębić się w historię, tym więcej można dostrzec, albowiem staje się ona coraz bardziej krwawa i trudniejsza do zniesienia wraz z ciążącym fatum. „Przeciwności losu powodują, że jedni się załamują, a inni łamią rekordy”. (William Arthur Ward)

Jeśli spojrzeć bliżej na postawy ludzi wobec życia, możemy dostrzec dwie główne. Jedni podchodzą do życia ze stoickim spokojem i przyjmują wszelkie zadane im przez los cierpienia, a drudzy podążają według zasad epikureizmu, żyjąc pełnią życia i nie bojąc się wyzwań stawianych im przez los, a nawet sprzeciwiając się jemu.

Bunt jest jednym ze skutków anomii (społecznej), czyli poczucia niepewności i bezcelowości w społeczeństwie w wyniku nagłych zmian. W ten oto sposób rodzą się buntownicy, którzy zapisali się na kartach historii w różnych dziedzinach. Najpowszechniej takie postacie ukazują się w literaturze światowej.

Dramat romantyczny Adama Mickiewicza „Dziady” cz. III jest uznawany za jedno z największych arcydzieł w kulturze Polski. Główna postać dramatu – Konrad – jest typowym romantycznym buntownikiem, który sprzeciwia się ogólnemu stanowi panującemu w ojczyźnie, którą tak ubóstwiał. Mickiewicz ukazuje go jako jednostkę przytłoczoną przeżyciami, jakie zesłało na niego życie, rzucając mu liczne kłody pod nogi. Końcowa historia bohatera nie jest nam znana, jednak można uznać, iż nie kończy się ona za dobrze, gdyż ostatnia scena związana z Konradem dotyczy jego zsyłki na Syberię – pokazując, że mimo wielkiego samozaparcia i niezmierzonej woli, życie nie pomogło mu, choć pobudki bohatera można uznać za szlachetne, w jakiejś części. Chociaż z drugiej strony kierowała nim wielka pycha i obłuda. Może to właśnie one doprowadziły do takiego końca.

Amerykański pastor, działacz na rzecz równouprawnienia Afroamerykanów i zniesienia dyskryminacji rasowej – Martin Luter King. Był on niezwykle człowiekiem, który dzięki heroicznemu postępowaniu zmienił na zawsze losy czarnoskórej ludności. Nie bał się jawnie walczyć z panującym rasizmem oraz nierównością społeczną w Ameryce Północnej. Koniec końców został zastrzelony przez rasistowskiego zamachowca. Pokazuje mi to, że King, tak jak

wielu przed nim, był tylko narzędziem do dokonywania przemian, na jakie inni nie mieli odwagi. Takie poczynania zmieniają świat na zawsze, na lepsze czy gorsze, nie mniej to rozważać, jednak na pewno działania te kierowane były dobrem i chęcią wprowadzenia zmian, które pomogłyby ludziom. Mimo to fatum nie oszczędzało ich, poddając coraz większym cierpieniom, a ich koniec też nie jest zbyt szczęśliwy.

Zupełnie innym rodzajem buntownika wydaje się Katniss Everdeen, czyli główna postać powieści science fiction „Igrzyska śmierci” autorstwa Suzanne Collins. Bohaterka w odróżnieniu od innych typowych przypadków nie chciała zmieniać systemu, lecz ratować życie bliskich. To społeczeństwo wymusiło na niej zmianę i uznało ją za symbol oporu. W ostatecznej chwili nie pokierował nią gniew ani żądza zemsty na człowieku, który przysporzył jej tylu cierpień. Przeważał poniekąd zdrowy rozsądek albo jej niezwykła inteligencja, mówiąca kto jest prawdziwym wrogiem i zabójcą jej młodszej siostry. Dlatego po wszystkim wiodła spokojne oraz szczęśliwe życie z ukochanym mężczyzną i potomstwem. Mimo to nigdy do końca nie pozbierała się po traumatycznych przeżyciach jakich doznała, szczególnie podczas igrzysk. Nie mogę więc powiedzieć, że jej życie było usłane różami po wielkiej rewolucji. Borykała się z wieloma emocjami, takimi jak załamanie, nerwica i wiele innych. Niełatwo mi sobie nawet wyobrazić, co musiała czuć po takich przejściach, ale znalazła w końcu ukojenie w ramionach bliskich.

Konformizm jest zgoła przeciwnym pojęciem, a także jednym ze skutków anomii. Ludzie wyznają go z różnych powodów, ale skłaniają się ku pasywnej postawie wobec narzucanego prawa. Trudno powiedzieć, czemu decydują się na taki sposób istnienia. Dla niektórych jest to po prostu łatwiejsza droga, bardziej bezpieczna, niż jawna niesubordynacja. Dzieje się tak zapewne z powodu nacisków społecznych, bądź obawy przed wykluczeniem ze zbiorowości. Strach przed tym działa paraliżująco, a chęć ochrony bliskich motywuje do takiego życia. Spokojne, szczęśliwe życie wynikające z takiej sytuacji jest naprawdę tylko obłudą, będącą zakłamaniem rzeczywistości.

Może właśnie ta bierność i podporządkowanie ogólnemu ładowi powoduje względne szczęście i przychyłność losu, który bywa tak okrutny. A może jako pojedyncze jednostki jesteśmy tylko bezwładnymi lalkami w rękach fatum, które pociąga za sznurki, przynosząc nam w zamian to, co daliśmy światu. Mówi się, że dobro i zło wracają, jest to tzw. karma. Uważam, że żeby zyskać przychyłność losu wystarczy postępować w zgodzie z samym sobą. Konformizm nie jest dobrym wyjściem, gdyż ludzie nie powinni beczynie patrzeć na okrucieństwa, ale przecież one ich nie dotyczą, prawda? Co z tego, że sąsiada obrabowano, wiadomo, współczujemy mu, ale tak naprawdę cieszymy się, że nas to nie spotkało. Fenomenalnie problem ten został przedstawiony na pokazie Balenciaga Winter 22, którego twórcą jest Demna Gvasalia – gruziński projektant i dyrektor kreatywny marki. Pokazał on modeli chodzących po śniegu w trudnych warunkach atmosferycznych, a widzowie mogli oglądać ich

zza szyby. Był to wzruszający ukłon w stronę Ukrainy i sytuacji, która niestety nadal ma miejsce.

Zatem do czego w końcu doprowadzi nas pozostawanie z boku? Czy coś takiego można uznawać za cechę człowieczeństwa? Osoby idące tą drogą na pewno nie zmieniają świata na lepsze, jedynie na gorsze. Musimy się nauczyć większego poszanowania własnej godności i tego, co w ogóle znaczy żyć. Powinno się mieć siłę, aby stawiać czoła wyzwaniom i żyć w zgodzie ze sobą, ponieważ to właśnie takich ludzi można uznać za tych, którzy zdobyli przychyłność losu. Nieważne jest to, jak postrzegają nasze przeżycia inni, bo może to, co inni widzą w ciemnych barwach dla nas jest jak tęcza ukazująca się po długim deszczu.

KATEGORIA OPOWIADANIE

LAUREACI

Grand Prix

Hanna Kuzia, II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej
w Katowicach

I nagroda

Zuzanna Buczek, IV Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica
w Sosnowcu

Szymon Drewniok, I Liceum Ogólnokształcące w Piekarach Śląskich

II nagroda

Karolina Kierat, Zespół Szkół nr 1 im. Adama Mickiewicza w Lublińcu
Emmanuel Więch, I Zespół Ogólnokształcących Szkół Społecznych
im. Stanisława Konarskiego w Katowicach

III nagroda

Julia Kucharska, Zespół Szkół nr 1 im. Adama Mickiewicza w Lublińcu
Gabriel Fordymacki, Technikum nr 4 w Sosnowcu

Wyróżnienie

Sandra Dworakowska, Zespół Szkół im. Juliana Tuwima w Bielsku-Białej
Dorota Zimoń, Szkoła Podstawowa im. Franciszka Rducha w Bełku
Egor Gorin, II Liceum Ogólnokształcące w Gliwicach

Hanna Kuzia

* * *

Otwieram oczy. Moje łóżko jest ciepłe, moje ściany porośnięte bluszczem ogrzewane są przez delikatne, poranne słońce. Okna – otwarte. Mój dom wygląda jak gaj, trawa porasta podłogi i mimo zmieniających się pór roku zawsze jest przyjemna i zielona. Sufit? Opadają z niego rozmaite liany i dzikie rośliny. Okna muszą zawsze być otwarte, tak zarządza mama. Uważa, że kolorowe piękno natury zasługuje na ciepło domowego, rodzinnego ogniska. Wadą mojej mamy jest to, że nie odróżnia materii od ducha. Dla niej suche łodygi starych, kruszących się już kwiatów mają znaczenie nie tylko sentymentalne, ale jest także do nich szalenie przywiązana i traktuje je, jakby

były moim rodzeństwem. Słońce dociera do mojej twarzy, a ponieważ niebo jest bezchmurne, promienie zaczynają razić moje oczy. „Trzeba wstać” – myślę i wystawiam bose stopy na żywą zieleń wiosennej trawy. Mama mówi, że w takim domu nie jest potrzebny dywan. Do kuchni przyciąga mnie ochrypły głos Edith Piaf, której mama jest fanką. W korytarzu spotykam jeszcze kota, który rzuca do mnie od niechcenia przywitaniem, ziewa i przeciąga się w koci grzbiet. Kuchnia. Kuchnia naszego mieszkania to miejsce szczególne. Ściany pokoju to zaledwie kilka szafek, lodówka, kuchenka i kilka pudeł w rogu. Wszystko od podłogi do sufitu wyklejone żółtymi, samoprzylepnymi karteczkami z wybazgranymi francuskimi słówkami. Matka zawsze marzyła o byciu paryżanką, taki styl życia próbuje wieść. Kobieta stoi przed kuchenką, rusza biodrami do piosenki „Padam, padam” i smaży jajka. Na głowie ma kilka idealnie zawiniętych wałków schowanych pod chustką. Jest szczupła i wysoka, nawet w domu nosi szpilki, mówi, że wysoki wzrost to błogosławieństwo, a szczególnie dla kobiety. Moda i ubrania to dla niej priorytet, jest projektantką, to ona pokazuje kobietom, co i jak nosić, ale irytuje ją, kiedy ktoś ją kopiuje. Jest dziwakiem, mam to po niej. Nie zauważa, jak wchodzę, bo powtarza swój francuski z bardzo miernym akcentem. „Dzień dobry Stokrotko!” – rzuca w moją stronę i dalej powtarza „gazon... ga... zon... gazon”. Po drugiej stronie pokoju mamy mały jadalniany, żółty stół i stare, ale niesamowicie wygodne taborety. Ściany po tej stronie należą do taty, bo wiszą tam karnisze. Tata jest przeciwieństwem mamy. Jest niski i pulchny, nosi okrągłe okulary, ale w kwestii włosów odbiega od stereotypów. Ma siwą brodę, która tak jak włosy sięga mu do kostek. Jego włosy rosną w zastraszającym tempie, gdy goli się wieczorem, rano budzi się z pełną szopą włosów na głowie. Zawsze mówi, że to rodzinne, ale ja myślę, że to tylko magia. Tata z zawodu jest magikiem, dawniej występował, ale teraz, codziennie po śniadaniu znika w swoim gabinecie i tworzy mieszanki różnych specyfików. Z pochodzenia jest w połowie skrzatem, stąd niski wzrost, i w połowie elfem, stąd z kolei długie, bujne włosy. Mama czasem żałuje, że wyszła za męża za tatę. „To były inne czasy” – wspomina. Opowiadała mi o młodości, kiedy myła się tylko w jeziorze i zapuszczała włosy, żeby były jak taty. Tata siedzi na taborecie i czyta poranną gazetę, szuka trudnych słów i zaznacza je na później. „Odpytaj mnie!” – Do stołu dosiada się rozentuzjasmowana mama, a tata tylko kiwa głową z lekkim uśmiechem. „Dobrze... powiedz mi więc kocham cię” – odparł i zdjął okulary. „Je t’aime, to proste” – odpowiada. „Cecylio, je t’aime aussi” – dodaje tata, a mama chowa rumieńce w swoich zadbanych dłoniach. „Zmykaj, czas na naukę” – mówi tata i woła ptaki. Ma do tego specjalny rytuał. Najpierw klaszcze, potem tupie, a na koniec gwizdże trzy razy w dwusekundowych odstępach. Robi to, by niechciane stwory nie wleciały do naszego mieszkania bez zaproszenia. Chwilę po ogłoszeniu specjalnego kodu do pokoju wlatuje horda ptaków. Od gołębi (których mama nie cierpi) po sikorki, kawki i moje ulubione – pliszki. Ptaszki zasiadają na karniszach i szykują się na lekcję

ortografii. Po co ortografia? To chyba oczywiste, ptaszki muszą umieć pisać listy do swoich rodzin i znajomych, którzy wylatują na zimę. Tata zakłada nogę na nogę, bierze gazetę do rąk i zaczyna czytać słowa, które wcześniej zaznaczył. „Bezwzględny” – przemawia, „szczęście... żółć”. Tu przerwała mu mała sikoreczka i piskliwym głosem ogłosiła sprzeciw. „Panie profesorze! Po co nam takie słowa?”

„Po to ptaszku, byś mogła oznajmić swojej mamie, że to wielkie nieszczęście, że masz żółć w swoim małym żołądeczku” – odpowiada, spogląda na zmieszaną sikorkę i chichocze pod nosem. Nauka niedługo miała się skończyć, a ja grzecznie czekam na śniadanie i przyglądam się mamie. Rusza się od niechcenia, ale jej osoba wypełnia pokój pozytywną energią i elegancją od podłogi po sam sufit. Nie rozumiem, co mówi swoim łamanym francuskim, ale doceniam jej poświęcenie.

Mama ma zaledwie 30 lat, ale dzięki rodzinie taty założyła dobrze prosperującą firmę modową, pracując dla niej szwaczki-skrzatki. Ona przesiaduje całymi dniami w fotelu i bazgrze nowe pomysły na francuskie berety i apaszki.

Jest bardzo staranna, to cecha, której nie odziedziczyłam. W czasie moich rozmyślań i gapiostwa tata zgłodniał. Kiedy tak jest, podkreca swojego węża jak angielski lord i delikatnie szturcha mamę na znak, że czas jeść, ale w taki sposób, żeby nie wyrywać jej z francuskiego transu. Ona obraca się w naszą stronę i raczy nas uśmiechem, a na stole pojawiają się rozmaite wersje śniadań (dominują naturalnie te francuskie). W naszym domu śniadanie to najważniejsza część dnia, czas nauki i słuchania muzyki. Tata częstuje swoich uczniów okruszkami pieczywa z dna papierowej torby. Mama często testuje mnie ze znajomości starej francuskiej muzyki, czego nie lubię, bo nic z tego nie rozumiem. Myślę, że ona też nie rozumie większości słów, ale przynajmniej się stara. Pośrodku stołu staje ogromny, majestatyczny wręcz, kryształowy słój miodu. Kiedy sięgam po tost i miód, tata stuka mnie boleśnie w rękę i głaszcze się po gęstej brodzie. „Auć!” – jęczę cicho, ale on rzuca na mnie jedno ze swoich spojrzeń. Tych, które ciężko rozszyfrować. Już rozumiem. Dzień motyla. On bierze nóż stołowy i hojnie nakłada miód na brodę, z czeluści której wyjął wcześniej słoiček zielonego proszku. Ten proszek jest mi surowo zabroniony. Broda taty służyła mu czasem też jako schowek, kiedy ukrywał świerszczyki przed mamą. Tata powtarza swój poprzedni rytuał, a ptaki wymieniają się miejscami z motylami, wyfruwając gwałtownie przez okno, jak dzieci z klasy, kiedy zadzwoni dzwonek. Motyle zawsze są piękne. Kolorowe, neonowe, ale też szare niczym ćmy. „Stokrotko, odwróć proszę wzrok” – rzuca w moją stronę mama, która urywa kawałek bagietki. Odwracam głowę i słyszę coraz głośniejszy trzepot skrzydełek motyli, które osiadły na brodzie taty. Ten majestat przerywa głośny, ale radosny krzyk. „Gonzo!” – mama szybko wyjmuje szlafrok spod stołu i rzuca go w kierunku kuzyna Gonza, nie patrząc na jego małą, prawie dziecięcą, a do tego nagą sylwetkę. „Okej, już” – mówi

karzeł, wiążąc pasek wokół talii. Jest tak ekstremalnie niski, że sponad stołu widać tylko jego wielokolorowe oczy (pozostałość po jego motylkowej formie). Gonzo był zaklęty w motyle. Przeze mnie. Moja mama opowiedziała mi tę historię. Gonzo dawniej był wysoki i przystojny, jako krewny taty miał piękne, długie włosy i wspaniałą sylwetkę. Nasz dom zawsze był ostoją rozmaitych stworzeń, kotów, ptaków, skrzatów i ludzi. Kiedy Gonzo wpadł raz na śniadanie, dodałam do jego herbaty jakiś dziwny sok, który znalazłam w gabinecie tatusia. To miała być zabawa, mały dowcip, kuzyn wypiłby coś niesmacznego i się skrzywił. Tyle. Na moich oczach po wypiciu napoju Gonzo stał się niski i brzydki. Od tego czasu nie bardzo rozmawiam z tatą. Mówi, że magia odcisnęła na mnie swoje piętno i teraz jestem przeklęta, więc przynoszę bliskim nieszczęście.

Gonzo częstuje się tym, co jest blisko brzegu stołu, tylko tego dosięga swoimi dziecięcymi łapkami. Wyciąga spod stołu małe krzeselko dla dzieci, wdrapuje się na nie i zaczyna ze mną rozmawiać. Jak zawsze są to niezręczne pytania „Dalio, czy masz chłopaka? Albo dziewczynę? Nie... twój tata by tego nie przeżył. A jakie jest twoje hobby? Idziesz w stronę mamy, co?” – pyta dociekliwie, wpychając suchą bułkę do małej buzi. „Gonzo, daj jej spokój, to jeszcze dziecko” – mówi mama, „przynajmniej dla mnie” – dodaje, kiedy widzi zażenowanie wymalowane na mojej twarzy. Kuzyn odsypuje troszkę zielonego proszku – wynalazku taty na jego przypadłość, który pozwala mu zmieniać się z motyla w karła i na odwrót – i zbiera się do wyjścia.

„Dziękuję za śniadanie, Cecyllo” – rzuca stojąc przy drzwiach, próbując odkleić kawałek liścia ze swojej małej stopy.

„Au revoir Gonzito!” – odpowiada mama i uśmiecha się pod nosem. Drzwi trzaskają. Gonzo jako motyl jest złodziejem, jako karzeł, po prostu karłem. To, że jest owadem pozwala mu przecisnąć się przez najmniejsze szczeliny i cwaniak umie z tego skorzystać. Tata poprawia się w krześle i wstaje od stołu. Daje mamie całusa w głowę, a ta zaczyna wydmuchiwać powietrze, żeby jego kłująca broda nie dotykała jej nieskazitelnej, dopracowanej twarzyczki. Ciekawi mnie ten moment w życiu kobiety, kiedy z niechlujnej staje się damą, czy mnie też to czeka? Do mnie tata nie mówi ani słowa. Mama mruga do mnie jednym okiem, a z jej ruchu ust wyczytuję „nie przejmuj się”. Tata bierze pod pachę proszek i kubek herbaty i udaje się w stronę swojego gabinetu. Staje jednak we framudze na wpół otwartych drzwi i zwraca się w moją stronę z uśmiechem „Do zobaczenia później, Stokrotko” i znika w czeluściach swojej wypełnionej książkami i szkłem laboratoryjnym jamy. Mama gwałtownie na mnie spogląda. Jej oczy – ogromne, jakby zobaczyła ducha. Milczy przez kilka sekund po to, aby cicho pisać z podekscytowania. Uśmiecha się od ucha do ucha, zresztą ja też. Mama zawsze była po mojej stronie i czasem nocami słyszałam, jak przekonuje tatę, że to był tylko błąd, że to miał być tylko psikus, ale zawsze kończyło się to kłótnią. Chyba dziś jest ten dzień. Dzień rozejmu? Pojednania? Dzień bezwarunkowej rodzicielskiej miłości? Stokrotko? Tata? Do mnie? Ja?

Stokrotka? Siedzę na taborecie i maczam kawałek bagietki w pomarańczowej marmoladzie. Ja... stokrotka. Nie dowierzam. Mama szykuje się do wyjścia, też cały czas się uśmiecha. Zmienia szpilki z tych „podomowych” na oficjalne, eleganckie, do torby bez dna pakuje resztki śniadania, zwykła tak robić, żeby umilać szwaczkom każdy dzień. Staje obok otwartego okna i wygłasza „Wielki przełom, co?” Kręci głową w niedowierzaniu, spogląda na zegarek i wyskakuje, by udać się do biura. Z ulicy słyszę jeszcze jej zwyczajowe pożegnanie, które cichnie wraz z dystansem, który pokonuje. Czuję ciepło w środku, jakbym miała wybuchnąć. Siadam na żółtym fotelu, którego nigdy nie lubiłam. Nagle jest to najwygodniejszy i najpiękniejszy fotel, jaki w życiu widziałam. Edith Piaf nigdy nie brzmiała tak dobrze! Powietrze jest takie miłe, puchate, orzeźwiające, muzyka muska delikatnie małżowinę moich uszu i pozytywnie przeszywa moje ciało. Nawet kot, który mnie nie lubi się do mnie uśmiecha. Przemykam oczy. Pozwólcie mi na zawsze zostać w tej utopii. Budzę się. Jestem w łóżku, ściany są szare, a drewniana podłoga zimna. Leki działają, to był pozornie idealny dzień. Stawiam bose stopy na zimnej, drewnianej podłodze. Moje ściany są gołe, niebo zaś ubrane w gęste chmury. Kieruję się do kuchni, skąd słyszę tylko pisk czajnika. Mama w niechlujnym uczesaniu i koszuli nocnej zapiętej na nie ten guzik co trzeba przeciąga się przy otwartych drzwiach lodówki. Ściany? Kilka kartek z obowiązkami, oprawiona kolekcja motyli i kalendarz z zaznaczonymi datami wizyty u psychiatry. Okna? Zamknięte, będzie padać. Łysy tata czyta gazetę i spogląda na program przyrodniczy o ptakach. Zasiadam w szarym fotelu obranym sierścią kota. „Stokrotko” zaczyna mama „Zjedz coś zanim weźmiesz swoje leki”. Kiwam posłusznie głową i sięgam po kawałek czerstwego chleba, który leży na okrągłym, szarym stole. Mama podaje mi garść tabletek, które chowam do kieszeni szlafroka. Utopia jest złudzeniem, klaustrofobią. Szczęście to nasze małe gniazdko w małej kamienicy ze słabym dostępem do komunikacji miejskiej. Szczęście to mama, która pieszczotliwie nazywa mnie Stokrotką i tata, który w głębi duszy bezwarunkowo mnie kocha, ale jest w żałobie po śmierci Gonza. Szczęście jest ukryte w roztrzepanej mamie i córce. Szczęście jest w tacie, który umie wyciągnąć mi grosz zza ucha i cieszy się, kiedy zgaduje, jaką kartę mam w dłoni. Szczęście jest tu i teraz. W programie o egzotycznych ptakach i w schizofrenii paranoidalnej.

WRÓCIĆ DO NORMALNOŚCI

W powietrzu wisiał smród mordy i zniszczenia. Smród, który spowijał całe miasto i siał niepokój. Siał strach, obrzydzenie i odrazę. Powietrze spowite było żółtą chmurą zanieczyszczeń, a całe miasto jakby ginęło wśród ogromnego zgiełku. Wszystko zdawało się jakby tonąć we wszechogarniającej kakofonii. Strach bijący zewsząd wręcz wylewał się na ulice. W powietrzu wisiał przenikliwy dźwięk płaczu, krzyku i żalu. Gdzieś w oddali syreny policyjne wyły donośnie. Ciężkie i nastoletnie kroki poprzedziły jego wyłonienie się zza zakrętu. Jego ciężkie buty rozchlapwały mętną wodę, gdy przemierzał ulicę Czystą. To dziwne, że ktoś w takim świecie jeszcze dawał takie nazwy ulicom. W tym zbezczeszczonym świecie nic bowiem nie było czyste. Chłopak szybko mijał zdezelowane i popisane mury starych kamienic. Dookoła niego rozpościerał się syf w postaci roztrzaskanych szklanych butelek, starych strzykawek z zawartością niewiadomego pochodzenia, rozszarpanych foteli wyrzuconych zapewne z okien kamienic, czarnych od brudu lodówek i resztek zgniłego jedzenia. Ta ulica była więc wszystkim, ale na pewno nie ulicą czystą. Nic w tym obskurnym mieście nie zasługiwało na takie miano.

Nogi powoli zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa, więc obejrzał się za siebie i upewniwszy się, że nic już mu nie grozi, schował się za wielkim, zielonym koszem na śmieci. Warunki były co najmniej obrzydliwe, ale przynajmniej mógł pomyśleć. Nie było tu bowiem zgiełku, krzyków i odgłosów zniszczenia. Mógł więc przystanąć i zastanowić się nad tym, co powinien zrobić dalej. Nie wiedział. Od wielu dni jego życie skupiało się na nieustannym uciekaniu. Nie pamiętał już, czym było szczęście. Nie pamiętał, czym był spokój. Oparł się o ogromny kosz i pozwolił swoim łzom popłynąć po brudnych od kurzu policzkach. W nozdrzach czuł smród taniego piwa i wymiocin. Nie pamiętał już, jak może pachnieć czystość.

Nie zdążył nawet zebrać myśli. Gdy jego oddech się uspokoił po długim i wyczerpującym biegu, znowu usłyszał ten okropny i mrozący krew w żyłach dźwięk. Krzyk potwora, który nie dawał mu spokoju. Teraz nie był już jednak tylko potworem. Teraz zdawał się jakby wdzierać do jego mózgu. Chłopak czuł okropny krzyk wszędzie dookoła, jak i w sobie. Kości zdawały się nim przesiąkać. Poczuł zimny dreszcz. Paraliż. Strach się nasilił. Nigdy wcześniej żaden z tych stworów nie próbował wdzierać się do jego mózgu. Nic go już jednak nie dziwiło. Przeróżające bestie były zdolne do wszystkiego. Poczuł, że powinien ponownie zacząć biec, ale coś w jego mózgu kazało mu siedzieć. Potwór przemawiał do niego i nakazywał pozostanie w miejscu. Manipulował jego myślami. Chłopak mimo wszystko zmusił się do wstania i do biegu. Wyścig ponownie się rozpoczął.

Zza zakrętu wyłoniło się odrażające monstrum, z którym chłopak ponownie musiał się zmierzyć. Biegł ile sił w nogach, byleby tylko uciec przed tymi długimi nogami i rękami zakończonymi ostrymi szpikulcami. Robił wszystko, byleby uciec przed tą okropną twarzą, która zapewne wyglądałaby całkiem normalnie, gdyby nie fakt, że zamiast gałek ocznych widoczne były puste oczodoły, a kąciaki ust rozcięte były w taki sposób, aby usta wydawały się nienaturalnie wielkie i przerażające. Z ust wystawały ostre zębiska, które ociekały ciemną krwią. Potwór miał na sobie również ubranie, które wyglądało jednak bardziej jak strzępki starych szmat wyciągniętych z niszczarki. Głowę „zdobiły” pojedyncze kępki włosów, lecz całość wyglądała bardziej, jakby ktoś wylał potworowi na głowę żrący kwas. Bestia cuchnęła zgniłym mięsem, starą krwią i śmiercią. Tego bał się najbardziej – faktu, że za chwilę może zginąć z rąk okrutnej i bezwzględnej bestii. Starał się zapanować nad swoim szybkim i nierównomiernym oddechem. Jego serce biło coraz szybciej, nogi bolały niemiłosiernie, a w ustach czuł palącą pustkę i suchość. Powietrze ostro paliło go w przełyk i płuca, tnąc jego wnętrze, jak gdyby było ostrą żyłką. Głowa zaczynała boleć go coraz bardziej, a rozdzierający krzyk z każdym krokiem stawał się coraz głośniejszy. Łzy mimowolnie zaczęły napływać do jego oczu. Chciał się położyć na ziemi i móc zacząć płakać. Chciał przestać odczuwać strach i musieć nieustannie uciekać. Chciał po prostu znowu wrócić do tego, co było jeszcze niecały rok temu. Chciał po prostu wrócić do normalności.

Jeszcze niecały rok temu życie Leona wyglądało całkiem spokojnie. Popołudnia spędzał w domu, wsłuchując się w dźwięki muzyki klasycznej i jazzowej, czytając powieści i tomiki z poezją lub skrupulatnie wertując nuty utworów przeznaczonych do grania na saksofonie. Wolne chwile przeznaczał na długie spacerunki po mieście, które już tak dobrze znał. Wyjątkowo często spotkać go można było w parku, gdzie w milczeniu wsłuchiwał się w ptasi koncert, który ptaki odgrywały jak gdyby specjalnie dla niego. Raz na jakiś czas wybierał się do starego sklepu na rogu, w którym starsza i urocza pani Zamojska sprzedawała stare koszule, kamizelki, krawaty, kaszkiety i płaszcze. Chłopak bardzo lubił wypadki do jej urokliwego sklepiku, w którym zazwyczaj było raczej mało ludzi. Pobyt chłopaka w sklepie zawsze wywoływał szczery uśmiech na twarzy dobrodusznej kobiety. Na jego zresztą też. Jej twarz promieniała uśmiechem dosyć często i choć kobieta była już stara, dalej poruszała się z gracją, co niesamowicie mu imponowało. Zawsze oferowała mu ciepłą herbatę i długą rozmowę, z czego korzystał z wielką chęcią. Gustował też w samotnych wyprawach do antykwariatu, z którego zawsze wracał z torbą pełną starych książek. W domu spędzał czas raczej samotnie. Czytał, słuchał muzyki, grał. Nie potrzebował towarzystwa. Lubiał samotność. Lubiał spędzać czas ze swoimi myślami. Żył raczej spokojnie, lecz radośnie. Uszczęśliwiała go drobne rzeczy. Drobne gesty. Uwielbiał wschody. Gustował w delikatnych uśmiechach i kulturalnych rozmowach. Uśmiechał się na myśl o wyjściu do teatru. Lubiał wystawiać swoją twarz na zimny deszcz i czuć jego delikatne

krople na sobie. Godzinami mógł wpatrywać się w obrazy i „zaczytywać” w sztuce. W swoim życiu zaznał więc trochę szczęścia. Szybko zostało mu jednak odebrane.

Zjawili się w nocy. Przyszli niespodziewanie.

Nastoletni sen został zakłócony przez donośny grzmot i jasne błyskawice rozdzierające niebo. Chłopak został brutalnie postawiony na nogi przez głośny huk zwiastujący nadejście burzy. Przenikliwa ciemność zdawała się pochłaniać wszystko, co znajdowało się w jego pokoju. Zdawała się brutalnie wdzierać do wnętrza i zabierać wszystkie stojące w nim obiekty. Powoli wdzierała się też do jego młodzieńczego mózgu, który próbował dostrzec cokolwiek pośród wszechogarniającej czerni. Leon delikatnie wzdrygnął się, gdy deszcz powoli zaczynał uderzać w parapet, aby następnie ostro zacząć zacinać o szybę. Przenikliwy dźwięk dudniącego deszczu wprowadził go w niesamowite przerażenie, pomimo tego, że lubił deszcz. Naprawdę go lubił. Wtedy deszcz był jednak jakiś taki inny. Bardziej przerażający. Wszystko zdawało się być bardziej przerażające. Cienie gałęzi, usilnie próbujące wdrzeć się do jego pokoju, przypominały ręce, które wyciągały się, aby po niego sięgnąć. Poczuł paraliż. Ręce delikatnie zaczęły mu drżeć, a oddech przyspieszył. Poczuł niepokój. Poczuł lęk. Czern zaczęła zalewać i jego samego. Zniknął w otchłani ciemności. Obudził się z lekkim bólem głowy. Ciemność zniknęła. Lęk i niepokój także. Chłopak właściwie sam nie był pewien, czy to wszystko było tylko wytworem jego wyobraźni, czy wydarzyło się naprawdę. Przez okno do pokoju wpadało jasne światło dnia, a upiorne macki gałęzi już nie próbowały go dosięgnąć. Wszystko na pozór wróciło do normy. Na pozór.

Piękny i dostoyny głos Franka Sinatry delikatnie wybrzmiewał z czarnej płyty, po której płynęła igła, powodując trzeszczenie. Chłopak nie wiedział, gdzie dokładnie umieszczony był gramofon, ale wsłuchiwał się w jazzowe brzmienie utworu *Fly Me to the Moon*. Po chwili dźwięk zaczął się jednak deformować. Sinatra raz śpiewał nisko i gardłowo, aby zaraz potem przejść do dźwięków wysokich. Same dźwięki zdawały się być przytłumione, a momentami wręcz spowolnione czy przyspieszone. Śpiew nie był taki, jaki być powinien. Tego dnia wszystko w zasadzie było jakieś inne. Leon początkowo nie zwrócił nawet uwagi na to, jak wiele rzeczy uległo zmianie. Dopiero gdy Frank Sinatra zaczął brzmieć tak, jakby ktoś wylał na gramofon wiadro wody, chłopak uświadomił sobie, że nie znajdował się w mieście, które zapamiętał.

Z ulic zniknęli handlarze, którzy zawsze tak głośno nawoływali klientów. Uliczny skrzypek, z którym chłopak zawsze lubił ucinać sobie pogawędkę, nie grał już dla tłumy. Nie grał wcale. Ucichło szczekanie psów i delikatny śpiew ptaków. Brakowało dziecięcego śmiechu i płaczu. Brakowało duszy, którą posiadało jego urokliwe dotąd miasto.

Tego dnia powietrze w jego mieście również nie było takie, jakim je zapamiętał. Wszędzie unosił się bowiem smród stęchlizny i brudu. Powietrze

sprawiało wrażenie nasiąkniętego przedziwnym zapachem gnijącego mięsa, starej krwi i przerażenia. Paliło w płuca, a każdy wdech zdawał się być śmiertelnośny. Każdy wdech był jak gdyby wprowadzeniem do układu oddechowego toksycznego kwasu, który wyžerał wszystko, co spotkał na swojej drodze.

Zniekształcony i płynący z oddali głos Sinatry powoli cichł, choć działo się to bardziej tak, jakby ktoś ściszał utwór w spowolnionym tempie. Nagle jego głos został brutalnie stłumiony przez mrozący krew w żyłach krzyk, który wyrwał Leona z poczucia zatrzymania się czasu. Chłopak podskoczył i oderwał się od swoich myśli, które dawały mu poczucie egzystencji w iluzji. Przyszło jednak inne uczucie. Strach. Wtedy właśnie nastąpiło bowiem jego pierwsze spotkanie z krwiożerczą bestią o długich nogach i rękach zakończonych szpikulcami. Z pyska potwora leciała ciemnoczerwona, ewidentnie świeża krew. Oczodoły również krwawiły. Ich twarze zetknęły się wtedy ze sobą po raz pierwszy i od tamtej pory nie odstępowały się nawet na krok. Potwory ciągle były blisko i choć nastolatek nieustannie uciekał, nigdzie nie mógł czuć się bezpieczny. Zawsze były za nim. Pojawiły się w mieście, aby siać strach, zniszczenie i mordować. Przyniosły ze sobą stęchły smród mordu i zniszczenia, który od tamtej pory wisiał w powietrzu. Pojawiły się tamtej paralizującej nocy. Wyszły z ciemności, aby stać się ciemnością.

W tamtej chwili jego nastoletnie ciało, pomimo drżenia, zmusiło się do ucieczki. Obrócił się plecami do ogromnego monstrum i pognął przed siebie. Po drodze nie minął ani jednej żywej duszy. Chciał krzyczeć, ale słowa nie były w stanie wydostać się z jego gardła. Co jakiś czas oglądał się za siebie, aby upewnić się, czy kreatura dalej za nim podąża. Z każdą minutą była coraz bliżej. Po pewnej chwili udało mu się jednak ją zgubić, choć nie wiedział, na jak długo. Wbiegł do starej kamienicy wykonanej z czerwonej cegły, która od zewnątrz porośnięta była bluszczem, aby zatrzymać się na chwilę i złapać oddech. Wiedział, że nie może zabalować tam długo. Wiedział, że już nigdzie nie będzie mógł czuć się bezpieczny, skoro w okolicy czały się te okropne stwory. Próbuąc złapać oddech i myśli, powoli osunął się na podłogę, aby odpocząć. Znowu pojawił się głos Franka Sinatry. Tym razem halucynogeny głos dobiegał jednak z wnętrza jego głowy. *In other words, please be true. In other words, I love you...* Zniekształcony i psychodeliczny głos Sinatry, kotłujący się wewnątrz, skutecznie powodował senność. W końcu chłopak oparł głowę o ścianę i zasnął. *In other words, I love you...* wciąż powtarzał Sinatra. Tym razem muzyka przychodziła już jednak we śnie, tworząc z niego psychodelię.

Biegąc przez ulicę Czystą, wracał myślami do swojego dawnego życia. Jego głowa momentalnie przywołała wizje wszystkiego, co lubił w swoim dawnym życiu. Myśli zalewały go niczym tsunami. Nie był w stanie powstrzymać ich natłoku. Spowalniały go. Łzy popłynęły szybciej, serce zawirowało. Wybiegł na skrzyżowanie ulicy Czystej z ulicą Dymną. Jego myśli zaczęły go spowalniać. Nie był w stanie już dalej uciekać. Jego życie

sprowadzało się do nieustannej ucieczki od wielu miesięcy. Wystarczyła więc jedna chwila słabości i zawahania.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu, aby podjąć decyzję dotyczącą dalszej ucieczki. Obrót głowy w prawo. Obrót głowy w lewo. Tylko tyle wystarczyło, aby olbrzymi potwór powalił go na ziemię. Chłopak poczuł nagły i eksplodujący ból w okolicach głowy. Poczuł, że upada. Świat wokół zawirował, zaczął znikać. Ból w okolicach głowy nasilił się. Kolejna fala bólu przeszła jego ciało, tym razem w okolicach klatki piersiowej. Chłopak zaczął tonąć w rozrastającej się kałuży czerwonej cieczy, wypływającej z jego wnętrza. Zaczął tonąć w rozrastającej się czerni. Teraz nie leżał już na ziemi, a unosił się w czarnej otchłani. Ból zaczynał znikać. Jak wszystko wokół. Tego dnia znowu pojawiła się ta przeklęta piosenka. *In other words, please be true. In other words, I love you...* Jej brzmienie było ostatnią rzeczą, jaka się pojawiła. Chwilę potem zniknęło wszystko. Chłopak zatracił się w czarnej, bezkresnej otchłani.

~~~

– Nie odpowiedziałeś na moje ostatnie pytanie. Jak wyglądałby najszczęśliwszy dzień twojego życia? – zapytała pani Zamojska siedząca w białym kitlu za biurkiem.

Nie była jedynie starszą kobieciną. W rzeczywistości zajmowała posadę lekarza.

– Hmm? – chłopak zamrugął kilkakrotnie i wrócił do rozmowy – Faktycznie. Byłby to dzień, w którym te potwory by zniknęły. Nie chcę ich widzieć. Chcę z powrotem wrócić do swojego szczęśliwego życia. Nie chcę już czuć tego okropnego strachu i stresu. Nie chcę uciekać. Da się coś z tym zrobić, prawda?

– Da się. Chcę, abyś wiedział, że to wszystko dzieje się wewnątrz ciebie, w twojej głowie. Potworów z twojej historii nie ma, świat nie przeszedł zagłady. Niemniej jednak dziękuję ci za rozmowę, do zobaczenia wkrótce – zakończyła.

Wstając, chłopak kątem oka dostrzegł niewielką, pomarańczową karteczkę, wyrażającą więcej niż cała ta rozmowa.

*Leon Zalewski  
Potrzebne silne leki.*

## Szymon Drewniok

### PANACEUM

Znowu to samo... Leżę nieruchomo, jakby czekając na coś złego. Oddychając płytko, żeby jak najmniej poruszała się, zimna z zewnątrz, ale gorąca i wilgotna ze strachu po wewnętrznej stronie, kołdra, którą byłem przykryty. Usiłowałem otworzyć oczy, jakoś się ruszyć, ale zdrętwiałe ze strachu ciało ani drgnęło. Powieki miałem wtedy ciężkie, jakby ktoś przykleił je plastrem i nie potrafiłem ich otworzyć. Leżałem i czekałem na „szuradło”. „Szuradłem” nazwałem niewyjaśnione zjawisko, które co rano spędzało mi sen z powiek, paraliżowało ciało i mnie samego.

– Boże, muszę stąd wyjść! Muszę, muszę...

Tu znowu zachłysnąłem się ze strachu resztkami nagrzanego do granic możliwości powietrza. Nagle przerażająca cisza została zakłócona przez dźwięki, które każdego ranka doprowadzały mnie niemalże do szaleństwa. Delikatny stukot połączony z metalicznym chrobotem zdawał się dobiegać z lewego kąta pokoju. Było tam ciemno, światło niemalże nie docierało do tego miejsca częściowo zasłoniętego przez starą, masywną meblościankę. To coś drapało, cały czas drapało, jakby w szkole pazurami po tablicy, zdawało się nie oddychać, ale dobrze zaznaczało swoją obecność. Moje samopoczucie stawało się coraz gorsze. Mimo to starałem się dbać o swoją kondycję fizyczną. Codziennie rano przed pracą przebiegałem po kilka kilometrów. Jestem absolwentem Uniwersytetu im. Neila Aldena Armstronga, na którym ukończyłem kierunek nanoinżynierii z bardzo dobrymi wynikami. Jak każdy młody naukowiec miałem głowę pełną pomysłów, ambicji i siły do działania. Codziennie z radością i pełen werwy wychodziłem do pracy, która była zresztą moją wymarzoną. Jednak tego, co działo się od kilkunastu tygodni, mój umysł nie potrafił wytłumaczyć. Leżałem, próbując ułożyć sobie racjonalne wytłumaczenie tego, co się dzieje, gdy nagle z letargu wyrwało mnie cichutkie pukanie w drzwi pokoju.

– Szymon, wstałeś już? – Zdało się słyszeć zza drzwi.

– Tak, tak, pani Stefania. Już wychodzę – odpowiedziałem ściszym głosem.

Stefania była panią po siedemdziesiątce, ale mimo to zadbaną i jak na swój wiek, pełną wigoru gospodynią domu, w którym wynajmowałem pokój. Mieszkał tam również pan Ryszard, mąż pani Stefanii. Równie sprawny i zadowolony z życia jak gospodyni. Codziennie rano przychodziła pod drzwi mojego pokoju i delikatnie pukając, budziła mnie i zapraszała na śniadanie. Zmusiłem się, żeby wyjść spod kołdry. Rozejrzałam się po pokoju rozświetlonym już przez promienie słoneczne, które zdawały się delikatnie wdzierać przez okno. Szybko ubrałem się w strój do biegania i jak co dzień wyszedłem z domu na szybki jogging. Biegając, starałem się ogarnąć to,

co działo się w pokoju od kilkunastu poranków. Wróciwszy do domu, wziąłem szybki prysznic, po czym wpadłem do kuchni, gdzie już czekało śniadanie. Byłem nieobecny myślami i od razu zwróciło to uwagę gospodarzy, którzy traktowali mnie jak wnuka. Odchodząc od stołu, zapytałem:

– Hmm, tak się zastanawiam, czy słyszeliście Państwo coś niezwykłego dziś rano? Albo może wczoraj?

– Coś się stało? – zapytała Stefania.

Nic wtedy nie powiedziałem, kiwnąłem tylko przecząco głową, wstałem od stołu i udając się w kierunku wyjścia, zamyślony rzuciłem tylko:

– Miłego dnia, dziękuję za śniadanie.

Następnie zszedłem do swojego pokoju. Zatrzymałem się jednak przed drzwiami, obawiając się tego, co tam mogę zobaczyć. Biłem się z myślami, stojąc i gapiąc się w drzwi. Złapałem za klamkę i wszedłem powoli do środka. Od razu dało się wyczuć nieprzyjemny zapach. Nie był on bardzo ciężki i mocny w swej intensywności, niemniej jednak był to wyraźny odór zgnilizny. Zapach ten towarzyszył mi od przebudzenia aż do wyjścia do pracy. Dziwne jest to, że ubrania w żaden sposób nie cuchnęły, wydawało się, że tylko ja czuję ten obrzydliwy zapach. W drodze do pracy starałem się wyciszyć, założyłem słuchawki i wybrałem kolejną playlistę.

Firma, w której od niedawna pracowałem, zajmowała się opracowywaniem nanotechnologii. O dziwo, była to bardzo mała, kilkuosobowa firma, do której trafiłem dzięki szefowi. Dyrektor zakładu, prof. Ludwik Johnson, zaproponował mi pracę zaraz po obronie pracy inżynierskiej. Ciekawość świata, tego, co przed nami, co można dla nas wszystkich zrobić, sprawiła, że postrzegał mnie jako odpowiedniego kandydata. Byłem dumny z tego, że doceniono wiele lat mojej nauki. Kiedy wchodziłem do zakładu, mój umysł przedstawiał się na tryb intensywnej pracy. Stawałem się jakby zaprogramowanym na dane zadanie cyborgiem. W pracy nie istniało dla mnie nic innego poza nowym, flagowym projektem, który zdawał się być wyjątkowo ważnym. Codziennie, pomimo porannych nieprzyjemnych zdarzeń w domu, sypałem nowymi pomysłami jak z rękawa. Wymyślane przeze mnie nowinki byłem w stanie z marszu opisać tak szczegółowo, że czasem nawet miałem wrażenie, jakbym gdzieś o nich czytał lub jakby ktoś powiedział mi wcześniej, co mam mówić i robić. Nikt w firmie nie odstawał od reszty, chociaż jedyną odprawą, jaką przeszliśmy, była ta zaraz po zatrudnieniu, kiedy wyjaśniono nam cele i założenia projektu „Panaceum”. Badania miały umożliwić wszczepienie do ciała człowieka implantu z dokładnym genotypem danej osoby oraz całą dostępną wiedzą medyczną. Implant po wykryciu minimalnej nawet nieprawidłowości w pracy organizmu miałby sygnalizować konieczność udania się do stacji diagnostyczno-leczniczej, która dokładnie zbada pacjenta i podejmie się jego leczenia. W czasie przerwy obiadowej postanowiłem zrobić sobie kawę. Automat stał pomiędzy drzwiami do stołówki a drzwiami do toalety. Jak zwykle wybrałem cappuccino.

– Widziałem dzisiaj trupy. – Mocno przytłumiony głos zdawał się dochodzić z toalety. – Od ostatniego razu wydaje się, że sytuacja bardzo się pogorszyła. Ich ciała były powykręcane w nienaturalny sposób, pokryte łuskami, które odbijały światło niczym metal. Pomyślałem, że ci od was na własną rękę zaczęli przeprowadzać eksperymenty.

– Tak, wiem, dostałem raport – odpowiedział ktoś drugi. – Musicie jeszcze dzisiaj nawiązać z nami kontakt, prace muszą przyspieszyć. Potrzebujemy więcej danych. Z tym, co mamy, nie zdołamy zapanować nad chorobą. Oni muszą zrozumieć, że ich sytuacja będzie się pogarszała. Łącznicy ciągle nie dostarczają nam tylu danych, ile potrzeba. To wszystko działa za wolno. Widziałeś wykresy? Nie wiemy jeszcze, z czego wynika problem. Przekaż swoim przyjaciom, że łącznicy muszą zmienić taktykę. Powinniśmy spróbować pogrupować dokładniej personel klasy X, tak żeby przekazywać konkretny rodzaj danych osobom bardziej podatnym na ich przyswajanie, potem je jakoś połączyć w całość. Szymon – ten nowy – zapamiętuje bardzo dużo, więc on powinien otrzymywać instrukcje.

– Skontaktuję się z tobą jeszcze dzisiaj w tej sprawie. Pojawię się, jak zwykle – powiedział stanowczym głosem. Po czym zdało się słyszeć zbliżające się coraz wyraźniejsze kroki.

Oblany zimnym potem szybko wycofałem się w stronę jadalni, udając, że właśnie z niej wychodzę. Wyrzucając do kosza jednorazowy kubek po kawie, kątem oka zobaczyłem, że z toalety wychodzi mój szef – Ludwik. Parę sekund później właściciel laboratorium pewnym krokiem ruszył w kierunku swojego biura.

– O mnie chodziło? Jestem tu chyba jedynym Szymonem – pomyślałem zaniepokojony.

Idąc w kierunku laboratorium, mamrotałem coś do siebie, bo nie słyszałem dokładnie, o czym rozmawiali mężczyźni w toalecie. Reszta dnia w pracy upłynęła mi zwyczajnie, chociaż trochę nerwowo. Przed wyjściem z firmy przypomniałem sobie rozmowę, której fragment podsłuchałem kilka godzin wcześniej. Zamyślony ruszyłem energicznie do przodu i nagle wpadłem na Wojtkę, z którym pracowałem przy projekcie. Wojtek pracował w firmie od roku. Był to wysoki, bardzo szczupły mężczyzna z bladą skórą i podkrążonymi, wydawałoby się z przepracowania, oczami.

– Szymon, co się stało? – zagadał Wojtek, widząc moje zdenerwowanie.

– Sam nie wiem, wydaje mi się, że dzieje się tutaj coś dziwnego – odpowiedziałem.

– Naprawdę? Jeszcze nie wiesz? – zapytał Wojciech.

W budynku nie było już nikogo. Została tylko ochrona, więc postanowiłem, że porozmawiam z Wojtkiem i dowiem się, czego tak naprawdę dotyczy projekt, nad którym pracujemy.

– Nie zauważyłeś tego, że wchodząc do pracy, mówisz rzeczy, o których wcześniej nigdy nie słyszałeś ani nie czytałeś? Przecież wiedza, którą wykorzystujemy, nie ma oparcia w żadnych badaniach ani nawet w teoriach.

Stałem i patrzyłem na Wojtkę, słuchając tego, co mówi. Wojtek chyba zauważył w moim spojrzeniu dezorientację, strach i zaciekawienie.

– Zastanawiałeś się już, dlaczego Ludwik ma wygląd pięćdziesięciolatka, a przecież zakładał tę firmę? Na logikę musi mieć dużo więcej.

Nie dałem po sobie poznać, że przecież zwróciło to moją uwagę już od pierwszego dnia pracy. Wojtek nerwowo zapalił papierosa i wydawało się, że jego blada skóra jeszcze bardziej podkreśliła podkrążone oczy. Zaciągając się dymem, dalej zaczął opowiadać o tym, co wie, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś wielki ciężar.

– Przychodzą do ciebie, prawda? To nie są ludzie, to byty wielowymiarowe. Oni się z tobą kontaktują – kontynuował Wojtek. – Ponad sto lat temu liczna grupa bogaczy z całego świata postanowiła, że poszukają lepszego dla siebie, jak im się wtedy wydawało, miejsca. Nikt nie wiedział, że wtedy istniały jeszcze nieliczne laboratoria alchemiczne; prowadzone w nich były badania nad teleportacją w inne przestrzenie. Technologia już w tamtym czasie przewyższała pojęcie przeciętnego człowieka na temat świata. Naukowcy znaleźli planetę w innym układzie słonecznym. Wszyscy wtajemniczeni postanowili, że zostaną pionierami i stworzą tam dla siebie idealne warunki do życia. Cała grupa, wtedy kilkudziesięcna, przeszła na drugą stronę przez portal, który był już testowany od lat. Przez dwadzieścia lat nie było z nimi żadnego kontaktu. Jakimś sposobem wrócił Ludwik. Był w agonialnym stanie, grupa naukowców, która już od dłuższego czasu pracowała nad stworzeniem nanorobotów do celów medycznych, wszczepiła je Ludwikowi. Jego ciało w zadziwiającym tempie zaczęło wracać do zdrowia. W połączeniu ze zmianami, jakie zaszły w jego organizmie w innym wymiarze, doprowadzono do tego, że proces jego starzenia się został bardzo mocno spowolniony. Ludzie przebywający na planecie, którą nazwano Zara zaczęli chorować. Choroba została wywołana przez bakterię, która znajdowała się w glebie, a zarazem w roślinności, jaką między innymi żywili się tamtejsi ludzie. Ich ciała zaczęły się zmieniać, pokrywać się łuską, która zaczęła blokować dostęp tlenu do organizmu, choroba zaczęła wyniszczać kolonizatorów. Jak się okazało, Zara była zamieszkała przez obcych. Były to bardzo rozwinięte byty, które przewyższały nas – ludzi – swoją inteligencją oraz możliwościami. Jednak ludziom ze względu na nasz specyficzny genom nie byli w stanie pomóc. Na ziemi znajdował się pierwiastek, który w połączeniu z tym, co stworzyli obcy, dopiero dawał możliwość pomocy kolonizatorom z Ziemi. Po powrocie i udanym leczeniu Ludwik stworzył firmę, w której w pierwotnej wersji miały powstać lekarstwa, jakie miały pomagać w leczeniu choroby na Zarze. Ludwik stworzył układ z bytami. Oni mieli dostarczać informacje o stanie chorych lub ewentualnie o nowych chorobach, które mogłyby wyniszczać ludność, oraz przekazywać informacje umożliwiające produkcję



nanorobotów, dodatkowo wyposażonych w specjalną informację genetyczną, dzięki której miałyby leczyć ludzi. Były do komunikacji mogły wykorzystywać swoją umiejętność przenikania oraz telepatii. Z czasem jednak Ludwik postanowił wykorzystywać informacje na korzyść ludzi mieszkających na Ziemi. Chciał stworzyć nową technologię nanorobotów i nazwał projekt „Panaceum”. On sam nie mógł jednak komunikować się z bytami ze względu na przejście przez portal, które uszkadza komórki w mózgu, odpowiedzialne za rozumienie przekazów obcych. Dlatego co jakiś czas zmieniani są pracownicy X, bo ich kontakt z obcymi działa na mózgi w sposób o wiele gorszy niż portal. Czasem nie byli w stanie wytrzymać jednego kontaktu.

Wojtek zamilknął, patrzył tylko na moją reakcję.

– Teraz rozumiesz, co się z tobą dzieje? Nie oszalałeś. Odkryliśmy u ciebie szczególne predyspozycje do kontaktu z obcymi. Twój mózg jest odporny na szkodliwe działanie telepatii, a jednocześnie bardzo dobrze przyswaja treści przekazów. Bez ciebie projekt nie będzie możliwy do zrealizowania. Nie powiedzieliśmy ci tego na początku, bo wzięłbyś nas za bandę wariatów.

Na twarzy odchodzącego Wojtki zauważyć można było grymas przypominający uśmiech. Stałem jeszcze chwilę oszołomiony, po czym ruszyłem do domu.

W drodze do domu zorientowałem się, że zostawiłem szaszetkę ze słuchawkami i biletem miesięcznym w szatni, więc musiałem wracać do domu pieszo i w akompaniamencie ulicy. Powoli zaczynało mnie mdlić na myśl o tym, co usłyszałem. W tym momencie przypomniało mi się, że jeszcze rano myślałem, że jestem chory. Zmroziło mnie, kiedy uświadomiłem sobie, że moje poranne „przygody” są związane bezpośrednio z moją pracą. Z głębokiej zadumy wyrwał mnie dopiero niski dźwięk klaksonu autobusu linii 6N, którym zazwyczaj wracałem do domu. Stałem bowiem na środku przejścia dla pieszych. Kiedy zszedłem na chodnik, myśli znowu pochłonęły mnie bez reszty. Nie byłem typem panikarza i wolałem spokojnie wyjaśnić tę sprawę w racjonalny sposób. Składając myśli niczym małe puzzle, uświadomiłem sobie, że od kilkunastu tygodni nieświadomie przyczyniałem się do tworzenia doskonałego świata, że tylko przy mojej pomocy to może się udać.

Żadnych chorób? Ludzie żyjący co najmniej kilkaset lat bez oznak starzenia? Przecież to utopia. Nie zważając na przechodzących obok mnie spacerowiczów, mówiłem do siebie. Na mojej twarzy pojawiał się uśmiech na myśl, że dzięki mnie tacy ludzie jak pani Stefania i pan Ryszard nie skończą żywota w ciągu kilku następnych lat. Uświadomiłem sobie, że na każdego człowieka czeka nowa młodość, której ja będę współautorem. Nic, co przeżyłem do tej pory, nie było w stanie uszczęśliwić mnie tak, jak myśl, że dzięki mnie cały świat będzie szczęśliwszy.

## **CO TRZEBA ZROBIĆ, ŻEBY ZYSKAĆ PRZYCHYLNOŚĆ LOSU?**

Kompletnie nic nie idzie po mojej myśli. Nie mam pojęcia, co zrobić, nawet wróciłem do biblioteki, przeczytałem wszystkie poradniki i nic, kompletnie nic nie ma o upadłych bóstwach, rozhisteryzowanych wszechmogących albo o władcach świata, którzy próbowali cię zabić. Nigdy nie sądziłem, że moje specjalnie ułożone, nieekscytujące życie stanie się misją ratowania samego boga... Nie jestem pewny, czego. Wszystko się posypało, ale nie mogę go zostawić. Od godziny się nie budzi i zajmuje moje łóżko, więc nawet gdybym miał odrobinę podłości w swojej duszy, to nie mam jak go wyrzucić. Nie wspominając, że jest ogromny. Kolejne przypomnienie o tym, jak ziemia wylosowała mi najgorsze geny i zapewne oddała jemu. On, na oko 190 cm wzrostu, zbudowany jak rzeźby greckich bogów Peny (zapewne nawet nie musieli ćwiczyć, by mieć taki sześciopak), nie wspominając, że on sam jest bogiem! Na Crowleya, nawet żadna z jego blizn nie jest już widoczna. Wcześniej wyglądał tragicznie, cały w ziemi i tej swojej złotej krwi. Chyba swojej. Nie studiowałem bogów, ale z tego, co wiemy z rynku mówią, bogowie często walczą ze sobą i każdy z nich ma złotą krew, a według legend to wszelkie złoża złota powstały na polach bitew bogów, bo ich krew przesiąkła skały. Jednak nie mogę im całkowicie ufać; mówiły, że wszyscy bogowie oddali skrzydła wróżkom zwierzęcym, by mogły żyć bezpiecznie w lasach, jednak ten bóg ma całkowicie sprawne skrzydła, oprócz paru złamań i wcześniejszych głębokich ran, i może latać w przyszłości. Jedyna pomoc, jaką ode mnie otrzymał, to opatrzenie jego ran; wreszcie tyle lat studiowania różnych maści i opatrunków na coś się przydało. Mam nadzieję, że Peny zaraz przyjdzie, bo tylko ona jest w stanie go podnieść, a ja muszę iść spać. Już dawno po zachodzie. To nienaturalne dla krasnoluda, by chodził późno spać, znaczy dla mnie.

– Gdzie jestem? Ej, mały, kim jesteś? – Głos przerwał mi obmyślanie planu.

Odwróciłem się, a olbrzym siedział na moim łóżku, które mocno wyginało się pod jego ciężarem. Patrzył na mnie, jakbym był małym dzieckiem. Jak on może mnie tak lekceważyć! To ja mu pomogłem, a on zwraca się do mnie, jak do dziecka?!

– Nie miałeś się jeszcze obudzić! – wykrzyczałem, a chwilę później dotarły do mnie moje słowa.

Jestem skończony. Przewidywałem, że skończę życie przez swój niewyparzony język, ale dłaczego tak szybko. Gdy już zęgnąłem się w myślach ze swoim życiem, on się zaczął śmiać.

– Co za słownictwo w obecności boga. Wszyscy przeważnie boją się mnie.

Jaki on jest arogancki! Cały czas się ze mnie śmieje. I przewierca mnie swoimi świecącymi oczami, które wyglądają jak te, które posiadają węże, tylko że złote.

– Zastanówmy się, dlaczego ludzie się ciebie boją, rozkładając twoją osobę na czynniki pierwsze. Mam zaczynać od wyglądu, podejścia do innych czy wcześniejszego przywitania w ogrodzie? – Uśmiechnął się do mnie złośliwie co odwzajemniłem. Przynajmniej teraz mam pewność, że nie ma złych intencji, gdyby tak było na pewno już bym nie mógł się uśmiechać. Ani mówić. Martwi niewiele mogą robić.

– Oj nie musisz być taki uszczypliwy... Co się stało w ogrodzie? – Nagle spoważniał, więc i ja postanowiłem przestać żartować.

– Nie wiem, co się działo z tobą zanim tu trafiłeś, ale spadłeś z nieba i skrzydłami zniszczyłeś mi cały ogródek. Wybiegłem z Peny sprawdzić, co się stało, a ty próbowałeś nas pozabijać swoim mieczem, wyzywając nas od zdrajców. Wtedy upadłeś i Peny zanosła cię do mojego pokoju, bym mógł ci pomóc. Jestem studentem medycyny i alchemii u centaurów, więc coś niecoś potrafię. – Wyprostowałem się z dumy, kiedy chwaliłem się moją szkołą. Tylko nielicznym udaje się tam dostać i sama propozycja ubiegania się o miejsce w tej szkole, to ogromny zaszczyt.

– Dziękuję za pomoc, jestem ci winien małą przysługę. Jestem, jak pewnie wiesz, bogiem śmierci, samym Monarchem, ale możesz mnie nazywać „mój łaskawy Panie”. Nie musisz teraz klękać i wychwalać mnie, ale nie narzekałbym, gdybyś chciał. A ty? Kim jesteś?

– Że, przepraszam bardzo, kim jesteś?

Bóg śmierci w moim domu. Babcia straszyla mnie opowieściami o jego okrucieństwie. „Imię łagodne i dostojne jak motyl, ale zwieść się nie daj, to tylko pozory, swoimi zębami wyrywa kończyny wróżkom, szponami wyciąga serca nimfom i nawet inni bogowie nie równają się z nim w walce”. Nie najlepiej ją wspominam.

– Ta przysługa będzie ogromna, bo wydałem na ciebie większość moich zapasów. Jestem, jak widać krasnałem, nazywam się Frik i miło cię poznać.

Lepiej będzie utrzymywać dobre kontakty z bóstwami. Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu spróbuje mnie zabić, a w jego przypadku to zbyt prawdopodobne.

Minęły dwa dni, od kiedy poznałem Monego. Jest nieznośny jako współlokator. Jedyne plus jest taki, że z jego włosów, które wypadają mu aż nadto, można wytopić złoto i sprzedać za dobrą cenę. Wiele się dowiedziałem o nim, od kiedy tu przebywa. Jego usta ani na chwilę się nie zamykają, bo albo mówi o sobie, albo o „niesamowitych” rzeczach, jakich dokonał. Często też wyjada moje ulubione czekoladki i muszę je ukrywać. Ostatni raz, kiedy mieszkalem z kimś, to kiedy z dwoma braćmi dzieliłem pokój, a i tak było łatwiej ich znieść.

– Frik, gdzie trzymasz chabry? Próbuję zrobić herbatę i nigdzie nie umiem ich znaleźć!

– O nie! Trzymaj się z dala od moich herbatek! – Pobieglem do kuchni, jednak już go tam nie było. Usłyszałem jakiś huk w mojej sypialni, więc tam się udałem.

– Już znoszę to, że nie obchodzi cię ani odrobinę moja prywatność, ale zostaw moje rzeczy w spokoju! O nie! Kiedy i kto cię otrul? – Zobaczyłem, jak zwija się z bólu na podłodze. Zacząłem szukać po szafkach czegoś na ból, próbując zachować spokój. Panika mu nie pomoże, ja już tak.

– Skąd wiesz, czy to otrucie? – próbował się uśmiechnąć i się podnieść, jednak wyglądał przez to jeszcze gorzej.

– Od mostka aż po twarz rozchodzą się na twojej skórze pioruny, co świadczy o zatruciu, kolor fioletowy o wielkiej potędze trucizny, której nikt o zdrowych zmysłach by nie zażył, a fakt, że tak późno widać objawy świadczy o tym, że ktoś próbował zatuszować morderstwo i zwalić na wypadek. – Wkładałem mu do ust po kilka ziarenek maku na uśmierzanie bólu, jednocześnie smarując ciemne ślady maścią, by spowolnić konsekwencje otrucia.

– Ta ogrzyca miała racje, ty faktycznie jesteś kujonem – zaśmiał się, jak to miał w zwyczaju, kiedy nie chciał odpowiadać na pytanie. Znam go na tyle, by powiedzieć, że ukrywa coś przede mną, ale nie na tyle, by wiedzieć co.

Kiedy wszystko się uspokoiło, zrobiłem mu herbatę, usiedliśmy w ogrodzie i czekałem na jego wyjaśnienia.

– Tę truciznę wbiła mi Megalin, bogini roślin. To nie pierwszy zamach na moje życie, ale pierwszy tak bolesny, bolesny psychicznie. – Uciekał oczami po dziurach, które zostały jeszcze niezasypane w trawie i bawił się swoimi białymi lokami, które miał dłuższe z tyłu głowy i krótsze na czubku. – Mag to moja siostra i nigdy bym się tego po niej nie spodziewał. Jest idealna, wszyscy ją kochają, bo kto nie lubi lasów, kwiatów czy ach! Ona jest wszystkim, czym ja nigdy nie zdołam być. Ją proszą o przybycie i błogosławieństwo, a mnie błagają o to, bym już nigdy nie wyszedł z podziemi, kiedy ja nie mam wyjścia! – Rozpłakał się, przez co wyglądał przygnębiająco. Serce się kraje, kiedy na niego patrzę, ale nie chcę mu przeszkadzać. – To bardzo niewdzięczna praca, ludzie mnie nienawidzą i jeszcze wszyscy moi bliscy się ode mnie odwracają. Co ja zrobiłem, że świat mnie karze na każdym kroku? Co mam zrobić, by odmienić mój los? Nie mogę przestać być bogiem śmierci, nikt inny za mnie tego nie robi, ale zarazem nie mam już siły walczyć o to, by ludzie nie widzieli we mnie potwora. Kiedyś nawet próbowałem nie przychodzić po dusze zmarłych, ale one nie wracały do ciał. Jak już ktoś umrze nic nie mogę z tym zrobić, a przez mój bunt wiele z nich nigdy nie dozna spokoju w podziemiach. Niczego dobrze nie potrafię zrobić! Nawet przy naszym pierwszym spotkaniu próbowałem cię zabić! Musisz mnie nienawidzić – ostatnie słowa wykrzyczał mi prosto w twarz. Były przepełnione smutkiem i bólem, ale cieszę się, że wreszcie udało mu się wyrzucić cierpienie kłębiące się w nim.

– Nie nienawidzę cię i jest mi przykro, że mnie tak odebrałeś. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji i nie wiem, jak to jest, ale wydaje mi się, że jeśli cały

świat jest przeciwko tobie i da się nic z tym zrobić, nie jesteś w stanie zmienić całego świata, ale możesz stworzyć swój. Stwórz swój własny świat z osobami, które znają cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że jesteś dobrą osobą. Nie patrz tak na mnie, mówię prawdę, a jeśli twoja siostra tego nie widzi, to jest bardziej ślepa od ciebie.

Zaśmiał się i wytarł rękawem łzy.

– Może zacznij od przedstawiania się jako „bóg zmarłych”, bo to jest twoja rola we wszechświecie, a z czasem może i świat zacznie być łaskawszy.

Powtórzył pod nosem swój nowy przydomek.

– Trucizna, którą zostałeś otruty jest leczona jedynie za pomocą twoich emocji. Im lepiej będziesz się czuł, tym mniej będzie ci doskwierać, a z czasem przestanie być już kompletnie widoczna. Jeśli będzie się pogarszać, wiesz, gdzie jest mój dom. – Wstałem z tarasu, na którym siedzieliśmy i podałem mu rękę, by pomóc mu wstać.

– Czekaj, to nie będę już mieszkał u ciebie? – Popatrzył na mnie oczami zbitego szczeniaka... Zbitego węża.

– Oczywiście, że nie! Dlaczego miałbyś? Nie musisz mieszkać w podziemiach?

Nie ma mowy, nie poddam się bez walki! To mój dom i ja za niego płacę. Chociaż on jest bogaty, a ja jestem biednym studentem. Tak, to może być argument.

– Przecież stąd jest dużo bliżej do śmiertelników i nigdzie nie jest zapisane, że mam mieszkać w podziemiach. Ty sam mówiłeś, że mam budować swoje lepsze jutro z ludźmi, którzy mnie lubią. A w moim domu jest tak zimno, na pewno złapię tam grypę i to twoja wina – zaczął coraz szybciej wymieniać argumenty, aż zmieniły się w mamrot.

– Jak to moja? Wiesz co? Jeśli posprzątasz ogród, przestaniesz mi grzebać w rzeczach i będziesz chodził na zakupy to się zastanowię.

Uśmiechnął się podejrzanie. Czyli dalej będzie się panoszył po moim domu. Sądzę, że to może być ciekawa przygoda.

Tego dnia poznałem mojego najlepszego przyjaciela, od tego też dnia zaczęliśmy razem budować lepszy los dla nas obojga.

## Emmanuel Więch

### LA CHANCE

Małe obskurne pomieszczenie rozświetlił pomarańczowy blask wpadający grubymi strumieniami przez rozbite okno. Pośród powiewających i poszarpanych firanek widać było kłęby błyszczącego kurzu wirującego niczym wzburzone czarne morze. Blask trwał, drgając i coraz bardziej szarpiąc płachtami materiału, wlewał się jakby do środka, niczym jakiś piekielny jęzor, sięgając po skuloną w kącie, okrytą kocami postać człowieka. Twarz osoby wyglądała jak dłutem wyryta drewniana rzeźba, głębokie i cięte rysy twarzy, podkrążone oczy oraz wyraźne zarysy każdej kości wyłaniały się z bladej skóry, uwydatniane rdzawym blaskiem. Człowiek ten wydawał się taki spokojny, pełen błogich snów i historii oddalających go od codziennego życia, jednak było w nim coś, co wzbudzało niepokój, a nawet lęk, coś nierealnego, niematerialnego. Tak wychudły i wyniszczony mężczyzna mógł mieć co najwyżej dwadzieścia lat. Ta młodość była jak widmo, nieuchwytna, jak dym pojawiająca się i znikająca, z każdym drgnięciem pomarańczowego blasku, który już powoli zanikał, niczym zachodzące słońce bladł, zostawiając w końcu ten pokój nienaruszonym i nieruchomym, mogło by się wydawać, że martwym, gdyby nie delikatny szum miarowego oddychania. Nowe sny zagościły w umyśle śpiącego.

– Podejdź! – Profesor gestem zachęcił wysokiego studenta rozmawiającego właśnie z grupą swoich kolegów.

Wszyscy byli ubrani w identyczne akademickie uniformy, długie wełniane czarne płaszcze sięgające po kolana i wysokie smukłe buty. Wezwany skinął głową w stronę swoich towarzyszy i z lekkim uprzejmym uśmiechem na twarzy podszedł do starszego mężczyzny, którego siwe związane w ścisły kok włosy idealnie dopasowywały się do identycznego jak studencki, lecz białego ubioru. Profesor zagarnął ramieniem wyższego o głowę od siebie wychowanka i niczym dobrzy znajomi oddalili się od grupy młodzieży.

– Jak pewnie wiesz twój ojciec poszukuje następcy na swoje miejsce... – zagadnął zdawkowo i jakby czekał na jakąś odpowiedź studenta. Nie doczekawszy się jednak, kontynuował: – Kiedy twój ojciec zakładał Akademię byłeś jeszcze taki mały – stwierdził wesołym głosem, pokazując ręką wysokość swojego uda. – Taki mały... A teraz masz szansę odziedziczyć po nim wszystko, co osiągnął... Ale ten czas przemija – pokiwał głową jakby sam sobie przytakując. – Jutro zostanie zwołana komisja. Wybiorą następcę, mój drogi, a ty... nie wszystko jest jeszcze przesądzone, ale... – zachichotał i idąc powoli, poklepał osłupiałego młodzieńca po plecach – nawet jeśli będzie niezawisła, ty masz największe szanse. – Zatrzymał się obok mijanych drzwi. Uśmiechnął się żartobliwie. – Czy szanownego przyszłego prezydenta mogę prosić na filiżankę herbaty?

Po krótkim skinieniu studenta drzwi jakby na zawołanie rozsunęły się cicho i profesor wprowadził go do środka. Wnętrze było solidnie urządzone, białe lśniące ściany kontrastowały z ciemną marmurową posadzką i równie czarnymi drewnianymi meblami. Oprócz mnóstwa niskich szafek ciągnących się po całym obwodzie kwadratowego pokoju, było jeszcze masywne prostokątne biurko w samym jego centrum, otoczone trzema mrocznymi fotelami. To właśnie tam zmierzał wykładowca.

– Siadaj młodzieńcze – rozkazał i sam zajął miejsce na tle wielkiego okna, za którym widać było potężne wieżowce, równie białe i błyszczące co ściany pomieszczenia, w którym się znajdowali. Wydawały się wyrastać z nieprzeniknionego oceanu szarego, smoliście kotłującego się dymu. Wezwany rozsiadł się w fotelu i spojrzał badawczo na rozmówcę.

– Herbata zaraz będzie, a tymczasem... – zaczął profesor splatając dłonie w piramidkę – chciałem porozmawiać o twoim nowym problemie, który ujawnił się kilka dni temu. Problemie, który w jakiś sposób będziesz musiał rozwiązać przejmując pieczę nad Firmą. Więcej przekaże ci najpewniej osobiście twój ojciec – stwierdził przez zaciśnięte zęby. – Tobie najbardziej ufa. Wiedz jednak, że tylko to, co wyniosłeś z Akademii jest słuszne, tylko to! Będą próbowali pomieszać ci w głowie, już od pierwszych dni zostaniesz najpewniej zaproszony na kilka rozmów takich jak ta, na których będą wmawiali ci kłamstwa, o Firmie, o Akademii i o Frachtowcach – wypowiedział jakby z naciskiem na każde wymawiane słowo. W tym momencie do gabinetu wjechał zmotoryzowany stolik z porcelanową zastawą. Kiedy odebrali swoje filiżanki, zniknął bezszelestnie. Profesor upił mały łyk herbaty, po czym cicho dodał: – Proszę tylko, byś godnie kontynuował dzieło twojego ojca. Nie zawieź go i nie zawieź siebie. Pamiętaj na co poświęciłeś całą swoją młodość i nigdy o tym nie zapomnij! – Spojrzał przenikliwym wzrokiem prosto na studenta i nagle groźnym głosem warknął: – Przrzeknij! Przrzeknij, że nie porzucisz swoich przekonań!

Kiedy zaskoczony młodzieniec milczał, wykładowca wstał wzburzony i uderzył pięścią w blat, aż głucho zadudniło. Pobudzony tym student również powstał, poblady, ale nie ze strachu, a bardziej z oburzenia. Pomimo spokojnego i opanowanego wyrazu twarzy, na której dalej widniał uprzejmy uśmiech, w jego oczach kwitła wściekłość.

– Czy pan, profesorze, myśli, że ja, Samael Dunn, pragnąłbym zdradzić mojego ojca? – zapytał młodzieniec cichym, ale dobitnym głosem. – Że miałbym oddać dzieło jego życia w ręce ludzi, którzy chcą podarować Firmę robotnikom z wysypisk?

Pomimo wyraźnie bezczelnej odpowiedzi ze strony wychowanka, nauczyciel wydawał się być zadowolony, wręcz z niego dumny.

– Będiesz dobrym następcą swojego ojca – rzekł na pożegnanie, minął go i wyszedł.

Student odprowadził go wzrokiem, po czym podszedł do olbrzymiego okna i badawczym wzrokiem, patrzył w stronę bezmiernego oceanu dymu, jakby próbując przeniknąć przez kłębiącą się w dole mgłę. Gdzieś tam w dole miliony jego przyszłych sług w kopalniach, fabrykach i wysypiskach pracowało, by firma jego ojca funkcjonowała, żeby wszyscy, których znał mogli mieć godne życie. Wśród ognia, toksyn i pyłu, w ich niesamowitym świetle. Jego uśmiech rozszerzył się, zmieniając w grymas wręcz szaleńczy. Trwał tak przez kilkanaście sekund, po czym gwałtownie powiewając czarnym płaszczem wyszedł w ślad za profesorem.

Gwałtowny wstrząs sprawił, że z drewnianego sklepienia posypał się pył, a w popękanych oknach zadźwięczały szyby. Siedem ciemnych postaci, siedziało przy prowizorycznym stole z maski wiekowego samochodu. Jadły coś, głośno rozmawiając. Była to rodzina, starsi już matka z ojcem, dwóch bliźniaków, którzy dopiero co osiągnęli pełnoletniość, młodszy nastoletni chłopak i bliźniaki mające już prawie dziesięć lat, chłopczyk i dziewczynka. Pomimo młodego wieku wyglądali nie lepiej niż ich rodzeństwo. Zmęczone oczy, poprzecierana skóra i poszarpane włosy, w pomarańczowym świetle wyglądające raczej jak szczecina. Wszyscy byli bardzo wychudzeni, niedożywieni i pomimo tego jedli spokojnie, jakby chłonąc tą chwilę, kiedy mogli wspólnie spędzić czas. W końcu za kilka minut ojciec wraz z trzema najstarszymi dziećmi pójść pracować w kopalni, a matka i młodsze rodzeństwo do sortowni odpadów na wysypisku. Nie było gwarancji, że wieczorem wszyscy zdrowi wrócą do domu. Kiedy tak jedli, jeden z bliźniaków opowiadał z niezwykłym zapałem o śnie, który mu się przydarzył. Był w nim piękny zachód słońca nad południowymi rubieżami złomowiska, wietrzny wieczór i spokój, jakiego dawno, we śnie i na jawie nie doznał. Opowiadał to tak barwnie i pięknie, że gdy skończył, zamiast głośnych komentarzy, usłyszał ciszę, kiedy pozostali zamilkli oczarowani. W tym milczeniu wyciągnął rękę po smażonego karalucha. W rdzawej poświacie dało się zobaczyć jak dramatycznym ruchem nabija na widelec ostatniego robaka z rozpadającej się misy. Chłopak przełknął, udając jak bardzo mu smakuje, po czym zakrztusił się teatralnie. Dopiero to wywołało salwę śmiechu. Ciągłe z uśmiechami na twarzy cała rodzina wstała i zaczęła się przygotowywać do codziennego znoju.

Pustka, strach i niepewność targały umysłem młodego Dunna. Od rozmowy minęły zaledwie dwa dni, a tak wiele uległo przemianie. Komisja zatwierdziła go jako następcę ojca kilkanaście godzin wcześniej, miał przejąć urząd dopiero po jego emeryturze, lecz ojciec zdecydował, że jego syn już wtedy był gotowy i nie czekając, wyruszył na wysypiska w pilnych sprawach związanych ze strajkiem robotników w kopalniach na dnie dawnego Atlantyku. Teraz młody Dunn, już nie student, a prezydent całej Firmy, Dyrektor Akademii, właściciel Frachtowców – statków kosmicznych, na których odtworzono warunki, jakie panowały na ziemi przed zmianami klimatycznymi, by Firma mogła już bezkarnie eksploatować surowce, by na nich zarabiać i tworzyć kolejne arki –



miał na barkach ciężar, jakiego kiedyś nie umiałby sobie wyobrazić. Był przecież jedynie młodzikiem, który świata poza Akademią nie widział, człowiekiem pełnym rozterek, pełnym wątpliwości. Dopiero teraz zaczynał rozumieć słowa tak mocno wpajane mu przez profesora, nie wynikały one z lekceważenia młodego człowieka, a z troski. Tak więc znowu wpatrując się w nieprzeniknioną otchłań dymu i mgieł, próbował zrozumieć czym stało się właściwie jego życie, kim on sam się stał. Jego rozmyślania gwałtownie zostały przerwane przez głośnie pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął i powolnym krokiem wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Drzwi rozsunęły się i do gabinetu weszła młoda dziewczyna z długimi czarnymi włosami i niebieskimi mądrymi oczami. – To ty kuzynko... – Samael z wyrazem dużej ulgi na twarzy wstał i uściśnął nowo przybyłą. – Przepraszam za szorstkość, myślałem, że to jacyś kolejni urzędnicy i... to mnie wykańcza – ponownie usiadł za ladą. – Chcesz coś do picia?

– Wodę, jeśli masz – odpowiedziała. – Jak ci idzie?

– Marnie. Jesteś w ogóle jedyną osobą, którą znam z poprzedniego życia, a która jeszcze mnie odwiedza – westchnął chwytając się za głowę i rozmasowując skronie. – Sami ważniacy próbujący przekonywać mnie do swoich chorych racji. Był nawet jeden, wmawiał mi, że ojciec obiecał mu kapitaństwo na jednym z frachtowców. Później się okazało, że to jakiś zastępca zastępcy prezesa banku, a kiedy próbowałem się zagłębić, facet zniknął, podobno zwolniony przez zarząd. – Spojrzał na kuzynkę i uśmiechnął się. – Nudzę cię, co?

– Nie, mów dalej, czasem trzeba się wygadać – zachęciła go stanowczo.

– Gris, wszystko czego nauczali w Akademii, rzadko pokrywa się z prawdą – wyznał. – Ci ludzie, tam w dole, to niewolnicy i nasza polityka tak właśnie ich traktuje. Jak niewolników, jak pomioty. Oni tam jedzą karaluchy, a mieszkają w domach ze złomu.

– Z tego co pamiętam, kiedy ci to mówiłam, byłeś święcie przekonany, że chcę ci namieszać w głowie. – Gris uśmiechnęła się z zaciekawieniem. – Mówiłeś, że nawet jeśli, to o tym, gdzie kto się urodzi, decyduje przypadek, a życie jest jedno i trzeba korzystać z tego, co się od świata wylosowało, bo równie dobrze mogłabym się urodzić tam na dole – wypomniała z delikatnie wyczuwalną ironią.

– Wiem... – Młody Dunn zwiesił głowę z rezygnacją. – Wszystko co teraz zrobiłbym na przekór, byłoby splunięciem na całe moje dotychczasowe życie. Byłoby obrazą mojego ojca...

– To ci wpoili w Akademii, a to co czujesz, to właśnie to, co przed chwilą mi powiedziałeś, i te słowa są twoją prawdą Samaelu. – Oparła mu rękę na ramieniu. – I według niej musisz postępować. Twój ojciec powiedział mi kiedyś, że boi się, że za bardzo dbasz o to, co on o tobie sobie pomyśli. Bał się, że jesteś tak podobny do niego, że zatracasz samego siebie. On wie, że oddanie ci urzędu nad Firmą, będzie prędzej czy później skutkowało zmianami, ale godzi się na to.

To wciąż twój tata Samaelu, nic się nie zmieniło – zapewniła go, a on spojrzał jej prosto w oczy.

– Chcę pomagać, Gris, a to co tu robię i robiłem, to czego jestem przedstawicielem, nie przynosi mi szczęścia. Chcę, a nie umiem.

– Bo nigdy nie spróbowałeś.

– Kim więc się stanę Gris? Przegrywem, wyrzutkiem? – młodzieniec parsknął sarkastycznie.

– Staniesz się spełnionym człowiekiem kuzynie, a nikt z nas, ludzi, którym faktycznie na tobie zależy, nie opuści cię – obiecała i po krótkiej przerwie mówiła dalej. – To teraz twoje życie, twoja ścieżka i ty ją wytyczasz. Rób to co ty uważasz za słusznie, nie akademia, nie ja i nie twój ojciec. – Wstała, więc i Samael wstał.

– Dziękuję... – Skłonił się Gris. Ta uśmiechnęła się wesoło.

– Nie martw się, dasz radę. – Pomachała mu na pożegnanie i wyszła przez otwarte drzwi, przez które właśnie próbował się wślizgnąć stoliczek z wodą. Chwyciła ją i jeszcze raz pomachała śmiejąc się. – Szybkie macie te wózeki.

W błyszczącym oknie odbijał się widok schludnego ogródka, na którym bawiło się dwoje dzieci. Młody Dunn wolno otworzył furtkę, czując szczęście promieniejące przez całe jego serce. Rozejrzał się dookoła. Trudno sobie wyobrazić, że kiedyś było tu wysypisko, ba nawet pracowała aktywna rafineria. Firma co prawda zbankrutowała, ale udało się wcześniej naprawić szkody jakie wyrządziła. Ta rodzina, do której właśnie zmierzał, była przez kilkadziesiąt lat rodziną niewolników jego ojca, wiele się nacierpiła, ale pomimo tego ta siódemka niezwykle ludzi była chyba najszczęśliwszą rodziną na świecie. Przez wszystkie te chwile, czerpali radość z siebie nawzajem i teraz obdarowują nią innych. Dzięki temu, młodzieniec idący właśnie przez trawnik wiedział, że na przekór ludziom, którzy uznali go za słabeusza, postąpił prawdziwie słusznie. Był to jeden z wielu szczęśliwych dni, kiedy to radość innych, przyniosła mu wyczekiwany spokój zapełniła pustkę w jego sercu, której nie mogła zapełnić ani władza, ani pycha, ani bogactwo. Zapukał w błyszczące białe drzwi, a po chwili ukazało się w nich starsze małżeństwo, byłych niewolników. Wtedy, jak każdego dnia od kilkunastu lat skłonił się i wypowiedział słowa.

– Proszę o wybaczenie i dziękuję...

**Julia Kucharska**

## **DEFINICJA SZCZĘŚCIA**

Czasy mojego dzieciństwa to moje ostatnie wspomnienia, w których byłam szczęśliwa. W tamtym okresie często z mamą spędzałyśmy czas nad dzikim stawem w lesie. Uwielbiałam wsłuchiwać się w śpiew ptaków i głos matki, która opowiadała mi przeróżne historie. Pamiętam, jak pewnego dnia oglądałyśmy młode kaczki pływające z ich mamą, które zadomowiły się w tutejszej wodzie. To był ostatni raz, gdy byłam naprawdę szczęśliwa. Wszystko się zmieniło, gdy ojciec nas zostawił. Przestałam wierzyć w szczęśliwe zakończenia i prawdziwą miłość. Mama zaczęła więcej pracować, przez co widywałyśmy się jedynie rano, gdy wychodziła do pracy. Każdy dzień spędzałam samotnie w niewielkim mieszkaniu. Chociaż starałam się z całych sił pomóc zapracowanej matuni, jako dziecko niewiele mogłam zrobić.

Dzisiejszego ranka obudziła mnie głośnie ulewa za oknem. Wstałam, mimo że ciało odmawiało posłuszeństwa. Podeszłam do lustra, ale widok moich podkrążonych oczu i przesuszonych ust przestraszył mnie na tyle, że natychmiast się odwróciłam. Ubrałam się i wyszłam z mieszkania do szkoły. Z mamą dzisiaj nie rozmawiałam, a tak właściwie, to nie rozmawiałam z nią od tygodnia. Całe dnie spędza w pracy. Tak wygląda nasza codzienność, która jest wiecznie pusta i samotna.

Przekroczyłam próg klasy, a wzrok koleżanek został skierowany na moją osobę. Usiadłam na swoim miejscu, a jedna z dziewczyn podeszła do mnie i położyła na moim stole karteczkę z godziną i miejscem. Zrezygnowana wstałam z miejsca i wyszłam z klasy. Chciałam uciec do domu i więcej się tu nie pokazywać, jednak nie mogłam zrobić tego ot tak. Nie chciałam stresować mamy i dokładać jej kolejnego ciężaru. Udałam się do łazienki i zamknęłam w jednej z kabin. Do oczu napłynęły mi ciepłe łzy, które jeszcze bardziej pokazywały, jak bardzo byłam słaba. Nagle do toalety ktoś wszedł, a ja wiedziałam, że nie był to nikt dobry.

– Otwieraj! – Jedna z dziewczyn zaczęła walić w drzwi od kabiny.

Wiedziałam, że jest to sytuacja bez wyjścia, więc drżącą dłonią otworzyłam drzwi. Jestem prześladowana, od kiedy pamiętam. Codziennie ten sam scenariusz – dostaje karteczkę, przychodzę w wyznaczone miejsce, oddaję pieniądze, a czasem również dochodzi do przemocy skierowanej w moją stronę.

– Myślałaś, że nam uciekniesz? – dodała wyższa brunetka stojąca obok blondynki.

Nie chciałam się sprzeciwiać ani z nimi walczyć, wolałam przetrwać to piekło. Posłusznie wyciągnęłam z plecaka pieniądze i oddałam grupce dziewczyn. Jednak to nie wystarczyło. Blondynka zamachnęła się z całej siły i uderzyła mnie otwartą dłonią.

– Naprawdę myślałaś, że tyle nam wystarczy?! – krzyknęła.

Nie odpowiedziałam. Liczyłam sekundy, aby jakoś to wytrzymać. Gdy blondynka chciała wymierzyć cios po raz drugi, zabrzmiał dzwonek szkolny, który mnie uratował. Dziewczyny szybko wyszły z toalety, posyłając mi groźne spojrzenie. Upadłam na zimne płytki, a kolejne łzy napłynęły do moich oczu, aby później spłynąć po policzkach. Ostatkiem sił podniosłam się z podłogi i ruszyłam w stronę wyjścia. Wyszłam ze szkoły w pośpiechu. Biegłam przez miasto, a deszcz kapiący z nieba zlewał się z moimi łzami. Miałam całe przemoczone włosy, jak i ubranie, ale nie przejmowałam się tym. Gdy dobiegłam na miejsce, rzuciłam plecak w zarośla i przykucnęłam przy stawie, którego brzeg był prawie cały zarośnięty. Weszłam na podest i usiadłam na nim. Z moich ust uleciał krzyk rozpacz, a za nim kolejny i jeszcze jeden. Dławiłam się łzami, myśląc o własnym życiu. Ostatni raz popatrzyłam w zachmurzone niebo i przypomniałam sobie najpiękniejsze chwile życia, które spędziłam właśnie w tym miejscu razem z mamą. Nie pamiętałam już, jak to jest odczuwać szczęście. Rzuciłam się z podestu do wody. Głęboko w sercu błagałam mamę o przebaczenie. Nie chciałam zostawiać jej samej. Moje światelko w tunelu zgasło na zawsze, a jedyne, czego mi brakowało, to odrobina nadziei. Moje ciało powoli opadało na dno, a ja czułam przyjemne mrowienie na koniuszkach palców.

Do moich uszu dobiegał dźwięk fal i odgłosy mew. Ostrożnie otworzyłam oczy, a widok, który ujrzałam, zaparł dech w mojej piersi. Znajdowałam się na wyspie o kryształowym piasku i kobaltowej wodzie. Wszystko tutaj było niezwykle, a każda roślina miała inną barwę, jakiej wcześniej nie widziałam. Całe to miejsce było przesączone przyjemnym zapachem, który relaksował moje ciało. Gdy przestałam napawać się niezwykłością tego miejsca, postanowiłam udać się w głąb wyspy. Wzięłam jeden z kijów leżących na plaży i ruszyłam w drogę. Ostrożności nigdy za wiele, tym bardziej że nie wiem, gdzie trafiłam. Przemierzałam wyspę, ekscytując się różnorodnością barw, zwierząt i roślinnością, o której istnieniu nawet bym nie pomyślała! I czar prysł, gdy w krzakach coś niebezpiecznie się poruszyło. Chwyciłam kij w obie ręce i stanęłam niemal sparaliżowana. Na miękkich nogach podeszłam do zarośli, które delikatnie dotknęłam kijem. Moje serce stanęło, gdy istota o posturze człowieka wyskoczyła z krzaków i unieruchomiła mnie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam chłopaka, który patrzył na mnie z takim samym zdziwieniem, z jakim ja na niego.

– Jak się tu dostałaś? – brunet o lazurowych oczach przemówił, na co lekko się wzdygnęłam. Nie odpowiedziałam. – Nie powinno cię tu być – dodał pewnym głosem.

– Kim jesteś? – zapytałam.

– Jediną istotą na tej wyspie. Jednak teraz to zmieniłaś – odpowiedział.

– Co to za miejsce?

– To świat, do którego trafiają samobójcy, którzy dostają od losu szansę na powrót – wypowiedział słowa niemalże na jednym wdechu.

– Czyli ty też...? – nie dokończyłam, ponieważ chłopak przerwał moje pytanie, wiedząc, o co chciałam zapytać.

– Tak. Również życie mi nie było miłe, jednak od mojego przybycia w to miejsce nikt tutaj już nie trafił – oznajmił.

– Jak długo tutaj przebywałeś?

– Kilkaset lat już minęło, jednak nie wiem, ile dokładnie – odpowiedział, a ja zdałam sobie sprawę z tego, że mam do czynienia z kimś niemalże wiecznym.

– Dlaczego nie wróciłeś do świata ludzi, skoro masz taką możliwość?

– Nigdy nie miałem czegoś takiego, co spowodowałoby, że zapragnąłbym tam wrócić – słowa chłopaka zakłuły mnie w serce. Gdy zauważył, że nie mam zamiaru odpowiedzieć, ponownie przemówił. – Jak się nazywałeś?

– Indis. A ty? – zapytałam.

– Eru – odpowiedział. – Oprowaćdzić cię? – dodał.

– Chętnie.

Wtedy wszystko się zaczęło. Chłopak pokazał mi każdy zakątek wyspy, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że jest najpiękniejszym miejscem na świecie. Zobaczyłam wodospady, których woda nie była w stanie ciekłym, lecz stałym, a po kontakcie z ciałem stawała się płynna. Eru pokazał mi również owoce, które otworzyły przede mną nową gamę smaków. Jednak najciekawszy był środek wyspy. To właśnie tam znajdowała się wielka dziura, która była portalem do naszego świata. Jednak w tamtej chwili nie chciałam wracać.

Każdy dzień spędzaliśmy z Eru razem. Bardzo dużo rozmawialiśmy i w ciągu paru dni zdążyliśmy dowiedzieć się o sobie praktycznie wszystkiego. To było wręcz niezwykle, bo po raz pierwszy od czasów mojego dzieciństwa poczułam się szczęśliwa. Eru opowiadał mi o swoim życiu na ziemi kilkaset lat temu, a ja opowiedziałam mu o terażniejszości. Co wieczór chłopak grał mi na wystruganej przez siebie gitarze melodię z okresu jego życia. Każdy dźwięk tej piosenki kojarzył mi się z wiosną, pąkami kwiatów na drzewach i ciepłymi promieniami słonecznymi. Dźwięk gitary uspokajał mnie i wprawiał w przyjemny nastrój. Tak mijały dni, aż w końcu nadszedł dziewiętnasty dzień mojego pobytu na wyspie. Poranek jak zwykle był piękny, niebo pokryte było różowymi obłokami, a powietrze pachniało liliami. Jednak coraz bardziej doskwierały mi koszmary, które męczyły mnie również tej nocy. We śnie widziałam mamę, która opłakiwała moją śmierć. Ten widok sprawiał, że pragnęłam do niej wrócić.

– Nad czym tak myślisz? – zapytał Eru uśmiechając się w moją stronę.

– Myślę, czy nie powinnam wrócić do domu – odpowiedziałam nieśmiało, a uśmiech zszedł z twarzy chłopaka.

– Chodzi o mamę, prawda? Słyszałam, jak krzyczałaś przez sen.

– Tak, chodzi o nią. Jednak nie chcę tam wracać. Boję się, Eru! Boję się koleżanek, a także mojej szarej, smutnej codzienności. Nie chce tego, nie chcę cię zostawiać – ostatnie słowa wypowiedziałam szeptem.

– Wiem, jednak sądzę, że powinnaś wrócić.

– Naprawdę tak myślisz? – uniosłam głowę, nie dowierzając.

– Tak, musisz wrócić do mamy – odpowiedział, patrząc mi prosto w oczy. – Ja odszedłem, bo nie miałem nikogo, ale ty, Indis, masz matkę, którą kochasz ponad wszystko – dodał. – Właśnie dlatego powinnaś wrócić – szepnął.

– Dobrze, zrobię to jutro – oznajmiłam na jednym wdechu.

– Jednak, zanim wrócisz, musisz mi coś obiecać, Indis. – Eru złapał mnie za dłoń.

– Tak?

– Obiecuj mi, że uporasz się z każdą trudnością życia – oznajmił stanowczo.

– Obiecuj, że będziesz robić wszystko, aby być szczęśliwa, bo zasługujesz na to szczęście, Indis.

– Dobrze, obiecuję. – Eru wyciągnął dłoń, prostując jedynie mały paluszek, który złączyłam z moim na znak obietnicy.

Ostatnia noc na wyspie była dla mnie bezsenna. Cały czas myślałam o moim odejściu od chłopaka. To dzięki niemu wszystko się zmieniło. Myślałam, że moje życie się skończyło na zawsze, ale tak naprawdę dopiero się zaczęło. To on stał się powodem zmiany i moją nową nadzieją. Wiedziałam, że wracając, odzyskam mamę i moje dawne życie, które będę mogła zmienić. Jednak zdawałam sobie sprawę z tego, że stracę coś równie cennego. Gdy tylko słońce wstało, ruszyliśmy w drogę. Po raz ostatni podziwiałam barwy i fikuśne rośliny. Gdy dziura była w zasięgu mojego wzroku, postanowiłam przemówić.

– Obiecałam ci, że uporam się z każdą trudnością, tak, aby każdy dzień był dla mnie wspaniały. Teraz ty mi coś obiecuj. – Patrzyłam brunetowi prosto w oczy.

– Słucham cię – odparł, czekając na moje dalsze słowa.

– Obiecuj mi, że jeszcze kiedyś się spotkamy. – Wyciągnęłam malutki palec i czekałam na gest świadczący o złożeniu obietnicy. Chłopak nie zawahał się ani chwili i przyłożył swój mały palec do mojego.

– Obiecuję.

– Żegnaj, Eru.

– Żegnaj, Indis.

Odwróciłam się i powoli zaczęłam iść w kierunku dziury. Z moich oczu płynęły ciepłe łzy. Po raz ostatni spojrzałam na czyste niebo i pogłębiłam wdech, aby jeszcze raz odczuć słodką woń tego miejsca. Odwróciłam się i w ciągu kilku chwil znalazłam się koło bruneta. Połączyłam nasze usta w pocałunku pełnym wdzięczności, a także uczucia, które zrodziło się przez te dwadzieścia dni. To był ostatni gest, który chciałam mu przekazać, następnie wskoczyłam w dziurę bez wahania.

Obudziłam się nad brzegiem stawu. W moim świecie dalej padał deszcz, a pogoda nie zmieniła się ani trochę. Wyciągnęłam telefon z plecaka i zauważyłam, że tutaj minęła jedynie godzina. Wytarłam łzy i wstałam z ziemi, silniejsza niż kiedykolwiek. Obiecałam mu, że dam radę, więc postanowiłam, że tak się stanie. I tak się stało.

Powrót do szkoły nie był prosty, lecz to, co się wydarzyło, dodało mi sił. Sama myśl o obietnicy sprawiała, że musiałam dać z siebie wszystko, dla niego, i żyć zgodnie z tym, co przysięgałam. Nigdy więcej nie pozwoliłam podnieść na siebie ręki oraz poszukałam pomocy u nauczycieli i mamy. Gdy wieść o nękanii rozniosła się po szkole, coraz więcej osób składało skargi na koleżanki, które następnie zostały zwieszane. Zapisalam się na wolontariat, a liceum ukończyłam z doskonałymi wynikami i wyróżnieniem. Znalazłam pracę, dzięki czemu mogłam odciążyć mamę. Nasz kontakt wreszcie się poprawił i zaczęłyśmy spędzać więcej czasu razem. W końcu byłam szczęśliwa, ale dalej odczuwałam w sercu pustkę. Mimo upływu czasu, wewnątrz mnie nadal był ten mały promyk nadziei, który powodował, że wierzyłam w to, że Eru wypełni swoją obietnicę i ponownie się spotkamy.

Dzisiejszy dzień jest wyjątkowo piękny. Słońce od rana grzeje, a na każdym drzewie otworzyły się pąki kwiatów. Ponadto dzisiaj są moje dwudzieste urodziny. Z tej okazji postanowiłam odwiedzić piekarnię i kupić parę łakoci, aby wspólnie z mamą je zjeść, gdy wróci z pracy. W drodze powrotnej z piekarni wstąpiłam do pobliskiego parku, aby napawać się widokiem dzisiejszego dnia i pozwolić sobie na chwilę relaksu. Usiadłam na ławce i przymknęłam oczy, wsłuchując się w śpiew ptaków. Na mojej twarzy pojawił się radosny uśmiech. W pewnym momencie stało się coś nieoczekiwanego, co spowodowało, że moje serce chwilowo się zatrzymało. Usłyszałam dźwięk gitary. Melodia, którą wydawał instrument była mi doskonale znana. To na ten dzień czekałam od trzech lat. Odwróciłam głowę, a moim oczom ukazał się chłopak o lazurowych tęczówkach, które wpatrywały się wprost we mnie. Gdy chłopak skończył grać piosenkę wstałam z ławki i powolnym krokiem udałam się w jego stronę. Każdy ruch był ostrożny, tak jakbym bała się, że chwila nieuwagi sprawi, że chłopak zniknie.

– Wróciłeś. – Wtuliłam się w mężczyznę, a do moich oczu napłynęły łzy szczęścia.

– Wróciłem – odpowiedział przyjemnym melodyjnym głosem, po czym pogłębił uścisk.

Wtedy zrozumiałam, że to jest to, czego od zawsze mi brakowało do całkowitego szczęścia. Miłość. Uczucie, które dla jednych jest zwykłą reakcją organizmu, a dla jeszcze innych bajkowym uniesieniem. Jednak dla mnie określeniem miłości był on – Eru, który uratował mnie w każdym tego słowa znaczeniu. Sprawił, że moje życie znowu przybrało pełne barwy, a ja sama nabrałam sił do działania. Gdyby teraz ktoś zapytał mnie, jak wyglądał mój najszczęśliwszy dzień w życiu, to jestem pewna, że bez wahania

odpowiedziałabym, że to właśnie dzisiejszy dzień. Chwila, w której ponownie go zobaczyłam sprawiła, że pustka w moim sercu została wypełniona, a ja osiągnęłam pełnię szczęścia. Uwierzyłam w nadzieję i miłość, które kiedyś były dla mnie jedynie nic nieznaczącym kłamstwem. On jest definicją mojego szczęścia, bo prawdziwe szczęście odnalazłam w nim.

**Gabriel Fordymacki**

## **CZY BÓG ISTNIEJE?**

Onkologia – czarodziejskie słowo, powodujące strach, cierpienie oraz dające nadzieję.

### **Wyznania syna:**

Może zacznę od początku. Kiedyś usłyszałem, że gdyby dzieci przed urodzeniem mogły wybierać rodziców, wszystkie by były szczęśliwe. Ja od losu ten dar dostałem. Mimo iż jestem jedynakiem, to moja rodzina jest szczęśliwa – pełna miłości, otwartości, zrozumienia. Uważałem, że tak będzie zawsze.

Wszystkie sprawy dotyczące rodziny staramy się omawiać wspólnie, dlatego też byłem zaskoczony, gdy raptownie usłyszałem szept. Natomiast dziwne zachowanie mamy spowodowało, że stałem się bardzo wyczulony na jej emocje, dostrzegałem zmiany nastroju, od zamyślenia po dyskretny płacz. Byłem pozbawiony „wiedzy” i mój niepokój wzrastał z każdą chwilą.

Z czasem zrozumiałem, że moja mama musiała dojrzeć do rozmowy ze mną, jakie to było dla niej trudne powiedzenie oraz wyjaśnienie mi, co to jest rak piersi, jakie zmiany nastąpią w rodzinie w związku z leczeniem oraz że choroba nowotworowa nie jest wyrokiem. Byłem w szoku, z jednej strony nie zdawałem sobie całkowicie sprawy z tego, co nas czeka, a z drugiej tak strasznie się bałem o nią, przecież Rodzice są dla mnie całym światem, zawsze starają się mnie chronić przed niepowodzeniami, tłumaczą i wspierają w sytuacjach kryzysowych, a teraz co...?

Nigdy nie zapomnę uczuć, jakie mną targały w tamtej chwili, od niepokoju po złość, dlaczego moja mama? Towarzyszyło mi również niczym nieuzasadnione przekonanie, że będzie dobrze, damy radę wspólnie i ona sama, przecież jest silną mamą, nie bojącą się niczego i nikogo. Wówczas zadawałem sobie pytanie: czy Bóg istnieje? Dlaczego tak okrutnie karze moją rodzinę.

Nie będę ukrywał, że obsesyjnie szukałem informacji o chorobie, jej przebiegu oraz skutkach. Czytając wszystkie zamieszczone treści byłem coraz bardziej przerażony i bezradny, a jednocześnie zastanawiałem się, jak JA mam odnaleźć się w tej sytuacji.

Dotychczasowe plany, codzienne zwyczaje przestały być ważne, wszyscy skupiliśmy się na walce z chorobą. Zmaganie się z chorobą ma wiele twarzy,



jednak wspólny mianownik – łzy, radość, ból, zaskoczenie, smutek, bezsilność, nadzieję, wiarę, determinację, bezradność i rezygnację. Wszystkie te uczucia miałem w sobie, lecz najważniejsze dla mnie były wiara i nadzieja, że będzie dobrze, damy radę i nic się nie stanie mojej mamie, którą bardzo kocham, która jest dla mnie wszystkim.

Nie wspomniałem jeszcze o uczuciach złości i bezradności, gdy obserwowałem moich rówieśników w szkole – byli tak szczęśliwi... Nie zdawali sobie sprawy z tego, że ja przeżywam dramat wewnętrzny. Podczas rozmów narzekali na rodziców, że się czepiają o oceny, zachowanie itp., a ja po cichu marzyłem o tym, aby znów wrócić do tych problemów, być beztróskim nastolatkiem. Czasami myślę, iż w tamtym czasie musiałem szybko dorosnąć i z beztróskiego chłopaka zmienić się w osobę wspierającą, pełną optymizmu i sztucznego uśmiechu. A przecież wówczas i ja potrzebowałem wsparcia, pocieszenia, wyjaśnienia, aby zrozumieć całą sytuację. Otrzymałem ją, owszem, od rodziny mamy, a szkoła hmmm... chyba o mnie zapomniała, ale nie mam pretensji, mimo że zapłaciłem wysoką cenę – nie zaliczyłem roku szkolnego.

### **Wyznania mamy:**

Jestem kobietą – żoną, mamą, siostrą, córką, mam szczęśliwą rodzinę. Rodzina jest dla mnie najważniejsza, zawsze uważałam, że mam szczęście w życiu. Czasami myślałam, że tego nie doceniałam, dlatego mnie to spotkało, a z drugiej strony nasuwała się refleksja: a może tak miało być, abym zaczęła postrzegać świat inaczej. Czy jestem szczęściarą nadal – tak, jestem!

Ale od początku – w 2018 roku zachorowałam na raka piersi. Wydawało mi się, że kto jak kto, ale JA? niemożliwe, przecież nie będziemy dobrą „parą”, a jednak diagnoza była jednoznaczna. W pierwszej chwili byłam w szoku, nie wiedziałam, do kogo mam się zwrócić o pomoc, komu powiedzieć i co z sobą zrobić. Przecież mam rodzinę – męża i upragnionego syna, co z nimi – nie zobaczę, jak on dorasta, jak układa sobie życie, nie doczekam się wnuków? Jestem młoda i co... mam umierać? Targały mną przeróżne emocje... Przez pewien czas płakałam wieczorami, bo w dzień musiałam być silna dla syna, męża, rodziny. Jednakże z czasem stawałam się znów tą silną kobietą, która myślała – skoro to mnie spotkało, muszę się z nim zmierzyć, pokonać i żyć pełną piersią.

Wówczas to postanowiłam przeprowadzić najważniejszą rozmowę w moim życiu – rozmowę z dzieckiem, wyjaśnienie mu całej sytuacji zaistniałej w rodzinie. Rozmawiając z nim, sama nie wierzyłam w to, co mówię, że będzie dobrze, damy radę, wyzdrowieję, a przecież z tyłu głowy miałam – rany, jak ja się boję, czy będzie dobrze...

Słyszałam teorię, że kobiety mają w genach aktorstwo i to jest prawda, w sytuacjach traumatycznych potrafimy w większości dobrze grać, stwarzając pozory, że będzie pozytywnie.

Nie będę opisywać przebiegu choroby, gdyż jest to mało istotne, mogę tylko nadmienić, iż w leczeniu miałam dużo szczęścia.

Najważniejsze, że wygraliśmy. Tak, dobrze napisałam – WYGRALIŚMY, gdyż dzięki rodzinie pokonałam raka. Nigdy nie zapomnę ile ich to kosztowało pod względem emocjonalnym, jakie wsparcie dostałam od nich. Uświadomiłam sobie jedno – Rodzina pokona wszelkie przeciwności, a ja jestem dalej szczęściarą.

Czy Bóg istnieje? Nie wiem i chyba nikt nie odpowie mojej rodzinie na to pytanie, gdyż targani jesteśmy do tej pory emocjami: dlaczego, kto wpłynął na to, że wygraliśmy? Może kiedyś to zrozumiemy, teraz jest jeszcze za wcześnie.

**Sandra Dworakowska**

## **UWIERZ**

Otworzyłam oczy, co nie rozwiązało jednak panującej dookoła mnie ciemności i ciszy. Próbowałam zrozumieć, co się dzieje. Przypomnieć sobie, dlaczego się tu znalazłam i gdzie jestem. Ostatnie, co pamiętam, to policzek przytulający się do poduszki, gdy zmęczona upadłam na łóżko. Nie stanowiło to jednak odpowiedzi na żadne pytanie.

*Co więc tu robiłam?*

Nie mając lepszego pomysłu na rozwiązanie niewygodnej sytuacji, postanowiłam wstać. O dziwo udało mi się to. Pod nogami miałam twardy i zimny grunt, który szybko zaczął dawać mi się we znaki przez dokuczliwe szczypanie w stopach. Nie miałam zamiaru doprowadzić do pojawienia się silniejszego bólu w dolnych kończynach, więc ruszyłam przed siebie.

Po kilku minutach maszerowania po omacku w ciemnościach nie natrafiłam na żadną ścianę, przeszkodę czy tym bardziej osobę lub zwierzę. Nie czułam też zagrożenia, ani szczególnego komfortu, jednak coś mi podpowiadało, że dobrze by było dać o sobie w jakiś sposób znać.

– Halo? Jest tu ktoś? – spytałam, rozglądając się dookoła, jednak wciąż nie widziałam kompletnie nic.

– Halo?! – Spróbowałam raz jeszcze, a wtedy gdzieś wysoko i na lewo zajaśniał delikatny krążek światła. Wyglądał, jakby małe dziecko bawiło się kredą, która świeci w ciemności i narysowało coś, co miało być kołem.

– Co to? – spytałam na głos. Nie kierowałam słów do nikogo specjalnego, ani tym bardziej do świetlnego krążka, chociaż spodziewałam się jego odpowiedzi.

– Ty mi powiedz. – Tajemniczy głos, ani wysoki, ani niski, ani męski, ani damski, dochodził z każdej strony, a krążek szybował bezpośrednio nad moją głową.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam zgodnie z prawdą i poczułam, jak dreszcz przechodzi mi po plecach.

Pomimo niekomfortowego położenia, w obcym i zdecydowanie nienaturalnym miejscu, czułam się bezpieczna, a Głos dodawał mi otuchy pomimo zaledwie jednej zagadkowej wypowiedzi.

– Zatem ja też – odpowiedział Głos, ponownie otaczając mnie z każdej strony. Niemal czułam jego przyjemne vibracje na karku.

– Gdzie jesteśmy? – spytałam, chcąc poznać choć skrawek otaczającej mnie tajemniczej głębi.

Spojrzałam na krąg, który urósł i stał się wyraźniejszy, co wskazywało, że zbliżał się do mnie.

– W twojej głowie – odpowiedział głos. Zdziwiłam się. Nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć, ani jak to możliwe. I co miał na myśli? Pytania mnożyły się z prędkością światła, a ja nie miałam żadnych odpowiedzi. Układając wszystko priorytetowo, postanowiłam postawić na wiedzę przyczynowo-skutkową.

– Jak to? Co to znaczy?

– Śpisz, śnisz. To sen, ja jestem wytworem twojej wyobraźni. Stwierdziłaś, że mnie potrzebujesz – powiedział spokojnie głos, co zdziwiło mnie jeszcze bardziej. Wyjaśniałoby to, dlaczego w otoczeniu tajemniczego głosu, pośród nieprzeniknionej ciemności, ze świecącym krążkiem nad głową czuję się bezpiecznie.

Nie umiałam jednak zrozumieć ostatniej części odpowiedzi. „Stwierdziłaś, że mnie potrzebujesz” – powtórzyłam w myślach. Co to miało właściwie znaczyć? Kiedy tak stwierdziłam? Do czego miałam go potrzebować? Pytań było o wiele więcej, ale te widniały na szczycie długiej listy.

– Mówiłam może dlaczego?

– Szukasz szczęścia, czyż nie?

Odpowiedź po raz kolejny zmusiła mnie do refleksji i chwili ciszy. Szczęścia? Miał rację. Szukam go od lat. Dlaczego przyszedł teraz? Chyba każdy szuka szczęścia, a przynajmniej jego kawałków w swoim życiu. Z drugiej strony nadeszło pytanie, czymże jest szczęście, którego pragnę ja i o którym mówi On. A jeśli to dwie różne rzeczy?

– A czym jest, jak to powiedziałeś, szczęście? – spytałam po chwili, marszcząc brwi. Świetlisty krążek zatrzymał się dość wysoko nad moją głową i lewitował, unosząc się i opadając.

– Ty mi powiedz.

„Kolejna zagadkowa odpowiedź” – pomyślałam zmarnowana i wywróciłam oczami, nie ukrywając tego przed i tak wszechobecnym Głosem.

– A jeżeli ja nie znam odpowiedzi?

– Znasz. W każdym momencie, gdy przychodzi, wiesz że nim jest, podobnie, gdy cię opuszcza, wiesz że to robi – odpowiedział Głos, jednak tym

razem wydawał się głośniejszy z przodu, jakby wziął do ręki megafon lub zaczął skupiać się w jednym punkcie.

– Racja... – mruknęłam w zamyśleniu. Rzeczywiście nie mylił się, chociaż wciąż nie wyjaśnił zbyt wiele. Spojrzałam na krąg światła nad moją głową. Na oko miał około dwa, może trzy metry średnicy.

– Nie możesz go wziąć – odezwał się po chwili Głos.

Teraz nie unosił się już wokół, tylko wybrzmiewał z przodu. Spojrzałam w tamtym kierunku i zauważyłam ciemną poświatę, która mogłaby należeć do średniej wysokości mężczyzny w cylindrze. Zmrużyłam oczy, żeby lepiej się przyjrzeć, jednak nic to nie dało.

– Co to miało znaczyć? – spytałam zniecierpliwiona, gdy nie nadchodziła żadna dalsza odpowiedź. Ciemna poświata stała się wyraźniejsza i bliższa niż przedtem, jednak wciąż milczała.

– Co mogę z nim zrobić? – zapytałam, próbując w inny sposób wydobyć informacje. Po raz pierwszy czułam, że aż tak bardzo chcę poznać odpowiedź, zwłaszcza że była na wyciągnięcie ręki.

*Była we mnie.*

– Zachęcić – odpowiedział głos, przybierając zdecydowanie męskie brzmienie. Nie stracił jednak tajemniczości i niemożliwej do określenia wysokości.

– Zachęcić los, by chciał ci sprzyjać – dodał po chwili, zbliżając się kolejnych kilka kroków.

Wyraźnie widziałam sylwetkę mężczyzny mojego wzrostu z cylindrem jeździeckim na głowie. Po kształcie cienia stwierdziłam, że ma na sobie bluzę lub kurtkę z kapturem i wysokie buty.

– Jak? – spytałam, czując, jak rośnie we mnie napięcie i spokój naraz.

Nigdy nie stwierdziłam, żeby w moim życiu los choć raz mi sprzyjał w jakimkolwiek zauważalnym sposób i przynosił szczęście. Uznałam więc za miłą odmianę czyjaś próbę zmienienia nastawienia złośliwego fatum.

– Uwierz – odpowiedział mężczyzna, ukazując na krótką chwilę swoją uśmiechniętą, okrągłą twarz, zakończoną trójkątnym podbródkiem, na której zadomowił się brązowy wąsik i delikatna broda.

– Czekaj! – krzyknęłam, kiedy krąg światła opadł, zamykając mnie w błyszczącej klatce i zaczął ściągać mnie w dół, z powrotem do stanu poza snem.

Otworzyłam oczy i podniosłam się z łóżka zbyt gwałtownie, co spowodowało zawroty głowy i przypomniało o kłującym bólu w krzyżu.

– Co to miało znaczyć?! – krzyknęłam, gdy mroczki pozwoliły mi normalnie widzieć w jasnym pomieszczeniu.

Zgodnie z przewidywaniami nie nadeszła żadna odpowiedź. Spojrzałam na zegarek stojący obok łóżka. Krótszą wskazówkę skierował właśnie na numer pięty. Westchnęłam i odeszłam w stronę kuchni.

Po zakończonej porannej rutynie wyszłam z domu i ruszyłam w kierunku przystanku autobusowego. Czekałam na transport do szkoły po godzinie szóstej, usłyszałam czyjeś powolne i spokojne kroki. Spojrzałam w stronę przybysza, który do złudzenia przypominał mężczyznę z mojego snu. Uśmiechał się w moim kierunku. Przekrzywiłam głowę na bok, zdziwiona bijącą od nieznajomego życzliwością. Podeszedł bliżej, a ja wróciłam do bardziej naturalnej do rozmowy pozycji.

– Znamy się? – spytałam, zanim mężczyzna zabrał głos.

– Tak – odpowiedział, a kąciki jego ust uniosły się wyżej. – Poznałaś mnie dziś w nocy.

– Nie odpowiedziałeś – zauważyłam, starając się brzmieć pewnie i groźnie, chociaż jego obecność w dziwny sposób nakazywała mi być miłszą i łagodniejszą.

– Odpowiedziałem – rzucił spokojnie, a uśmiech znikł z jego twarzy, pozostawiając jedynie szaleńczy błysk w niebieskich oczach trzydziestolatka.

– Ale to nic nie tłumaczy – powiedziałam zrezygnowana, licząc na wzbudzenie w nim litości i rozplątanie języka raz jeszcze.

– Tłumaczy. Wiele tłumaczy.

– Wcale nie.

– Słyszałaś kiedyś o Stendhalu?

Ton jego głosu kompletnie wybił mnie z rytmu, podobnie jak niewynikające z niczego pytanie. W myślach przewertowałam wiele kart z nazwiskami, które po szkole pamiętać powinnam, ale wołały uciekać w odległe krańce świadomości poza dostępem pamięci. Czasami miałam wrażenie, że bawią się ze sobą w chowanego, zwłaszcza na historii. W końcu dotarłam do jedynej informacji, która kryła się pod słowem „Stendhal”.

– „Powieść to jest zwierciadło przechodzące po gościńcu. To odbija lazur nieba, to błoto przydrożnej kałuży” – zacytowałam fragment dzieła, którego tytułu za nic nie mogłam odnaleźć.

– Brawo – rzucił mężczyzna ze złośliwym uśmiechem. – „Czerwone i czarne”. Nauczyciele byliby dumni.

– O co ci chodzi? – spytałam podirytowana. – Tyle o nim wiem.

– Że jest powieścią? Czy zwierciadłem?

– Pisarzem – odpowiedziałam, nie dzielając nastroju mężczyzny. – A kim TY jesteś?

– Ty mi powiedz – odpowiedział jak na zawołanie. – Ale co do Stendhala, skup się na drugim zdaniu i wybierz, w co wierzysz.

– W co mam niby wierzyć? – rzuciłam, mierząc go wzrokiem, przypominając sobie w międzyczasie, o czym mówi drugie zdanie cytatu, który pozostał w mojej pamięci.

– Czy częściej odbija lazur nieba, czy błoto kałuży – odpowiedział mężczyzna, po czym zaczął się rozpląwać, zostawiając za sobą kolorowe smugi.

Chciałam znowu za nim krzyknąć, zatrzymać go i kontynuować rozmowę, jednak na przystanku pojawił się pełen ludzi autobus, zmierzający w kierunku szkoły. Niechętnie wsiadłam do metalowej puszki, wkładając do uszu słuchawki.

Cały długi dzień myślałam nad słowami tajemniczego mężczyzny. Nie pozwalało mi to skupić się na lekcjach, wciąż wracałam do wydarzeń minionej nocy i praktycznie nie uczestniczyłam we własnym życiu. Podjęłam jednak decyzję. Chciałam, żeby moje zwierciadło, niezależnie od tego, co miało symbolizować, odbijało lasur nieba. Chciałam być szczęśliwa. Chciałam widzieć szczęście i doświadczać go jak najwięcej. Od chwili, gdy podjęłam decyzję, poczułam się jakby lżejsza. Nie stresował mnie żaden sprawdzian i nie martwił żaden zrzędlivy uczeń, usiłujący zakłócić mój wewnętrzny spokój. Pozostało mi tylko czekać na pierwszą w życiu miłość i prawdziwą przyjaźń. Słowo „uwierz” nabrała dla mnie niezwykłego znaczenia i towarzyszyło mi za każdym razem, kiedy los chciał przestać mi sprzyjać.

*Czy naprawdę wystarczy tylko uwierzyć?*

**Dorota Zimoń**

## **GDY MOGĘ PISAĆ, TO ...**

Nasza historia zaczyna się w mieście Piovere. W zamku królewskim na pagórku. Miasto było zadbane i schludne, ponieważ rodzina królewska dbała nie tylko o mieszkańców, lecz też o budynki. Winterowie byli znani z cudownych bankietów, skandali oraz nadzwyczajnej urody. Helena, królowa i matka – kobieta z zaskakującymi umiejętnościami pełnienia władzy. Przejęła tron po swoim mężu, bo stwierdziła, że jej syn nie jest wystarczająco odpowiedzialny.

Jeśli chodzi o dzieci, pozwólcie, że przedstawię wam Justina. Najstarszy syn z zapewne największymi spekulacjami z naszej kochanej rodzinki. Po śmierci ojca miał przejąć tron, cóż, nie udało się. Może to i lepiej. Środkowa z rodzeństwa królewskiego to Janet. Rozpuszczona panienka, nadal bez męża. Kto by z nią wytrzymał! I ostatnia z naszej najdroższej trójcy. Susan Winter. Któż by się spodziewał, że pójdzie drogą ojca, jako badaczka magicznych stworzeń i roślin za oceanem. Bankiet poświęcony jest pokazaniu najmłodszej córce kandydatów na towarzysza wyprawy. Wszyscy krzątają się po sali balowej, przygotowując różnorakie potrawy. Oświetlenie z setek świec, sklepienie pokryte diamentami niczym gwiazdy w czasie bezchmurnej nocy.

Gdy rodzina szykuje się na cudowne wydarzenie, zaczynają zajeżdżać powozy gości. Kolorowe stroje, stylowe fryzury i tradycyjne broszki z motylami są podstawowym ubiorem na wydarzenie przedstawiania towarzyszy. Kiedy goście zebrali się przy ozdobionych stołach, rozległ się hymn miasta.

Na podwyższenie zaczyna wchodzić ród Winterów. Każdy pamiętał o broszce, którą nosił ich ojciec, gdy wyruszał na wyprawę. Cała sala kłaniała się, dopóki nie rozbrzmiał potężny głos Heleny:

– Powstańcie! Dzisiejszy dzień jest wyjątkowy. Mojej córce Susan zostaną przedstawieni kandydaci na towarzysza, który wspomogę ją przy wyprawie do zakłętego lasu Mahika za oceanem. Tam mój szlachetny mąż zmarł w tragicznych okolicznościach. Teraz prosiłabym o przedstawienie kandydatów. Zebrani usiedli, a herold zaczął wyczytywać:

– Dave Lowning, najlepszy rycerz w naszej okolicy. Sprawnie posługuje się wszystkimi rodzajami broni. Sprytny i silny.

Przez mosiężne drzwi wszedł chłopak około dwudziestu lat. Wysoki, mający zapewne dwa metry, silnie zbudowany. Twarz miał jednak opanowaną i łagodną. Ukłonił się i przeszedł na lewą stronę, gdzie mieli się ustawiać kandydaci.

– Clayton Hamilton, wyróżnia się swoją zwinnością i szybkością. Posługuje się mieczem i łukiem. Dobrze widzi w ciemności i zna większość szlaków lasu.

Drzwi otworzyły się i rozległy się odgłosy butów. Kandydat szedł z uniesioną głową i pewnym siebie uśmieszkiem. Zarozumiały, ale potężny. Dwa metry, ciało średnio umięśnione, lecz wyćwiczone. Wszystko, czego było Susan potrzeba.

– Ostatni kandydat, William Owl, poeta i dyplomata. Porozumiewa się w wielu językach, które na pewno przydadzą się w wyprawie. Posługuje się zadowalająco mieczem oraz piórem.

W tle było słychać lekkie chichoty i szmery. Nagle usłyszano wielki huk, a na środku sali pojawił się młodzieniec. Widocznie opanował również magię.

– Witam – przywitał się, rozkładając ręce.

Był trochę wyższy od pozostałych kandydatów. Jego okulary były zakurzone przez materiał użyty do sztuczki, a jego twarz pokryta bliznami. Ubrany był w długi, zielony płaszcz, który ciągnął się za nim. Ustawił się obok przedstawionych już osobistości. Susan przypatrywała się kandydatom. Gdy już wszystko dokładniej przemyślała, przemówiła.

– Kandydaci mają dzień na przygotowania. Będą walczyć ze mną. Młodzieniec, który zaskoczy mnie najbardziej lub ze mną wygra, wyjedzie wraz ze mną. A teraz bawmy się!

Muzyka zaczyna grać, a biesiadujący rozpoczynają tańce. Suknie pań wirują jak skrzydła motyla, smokingi panów, niektóre metaliczne, inne błyszczące, błyszczą się przy zachodzącym słońcu wpadającym na salę przez witraże.

Susan przygotowywała się do ostatniej walki. Dwaj poprzedni kandydaci polegli mimo swych umiejętności. Nikt nie wiedział o tym, że dziewczyna była szkolona na najlepszą szermierkę w ich państwie. Jej ruchy były dopracowane i spokojne, a sylwetka wykonująca idealne cięcia lekko spinała się, nie okazując żadnego wysiłku. Dziewczyna uznała miecz, który czyściła za wystarczająco czysty, uśmiechając się lekko do swojego odbicia. Zbroja, którą nałożyła, była

wykonana ze specjalnego materiału, który nie pozwalał zbytnio się pocić, ale chronił przed bolesnymi starciami. Poprawiła wstążkę, którą związała włosy i wyszła na zachmurzony plac treningowy.

Trzeci kandydat przygotowywał się do wyjścia. Poprawił okulary i założył płaszcz. Nie miał zamiaru walczyć. Pokaże umiejętności, które nie potrzebują użycia przemocy. Susan w cieniu piła wodę, czekając na swojego przeciwnika. William stanął na środku i przemówił:

– Susan, pozwól do mnie.

To było szokujące! Jak można zwrócić się do księżniczki z taką pogardą? Dziewczyna ruszyła pewnym krokiem. Zatrzymała się przed samym chłopakiem, patrząc mu głęboko w oczy. Przez piętnaście minut nikt nie odwrócił wzroku. William z miłym uśmiechem i jaśniejącymi oczami, a naprzeciw ona rzucająca gromy swoim spojrzeniem. Gdy w końcu odwróciła wzrok, kandydat przemówił:

– Pozwól, że ci wyjaśnię. W naszym świecie albo bardziej w waszym świecie, jedynym językiem jest przemoc. Stosujecie ją wszędzie. Pojedynki, bitwy, wojny. Gdy ktoś wygra przemocą nazywacie go bohaterem, lecz gdy przegra nazywacie go słabym. Posługując się mieczem, wyznaczacie wartość danego człowieka. A co z rozmową? Rozmowa została nam dana, abyśmy się nią posługiwali. Byśmy mogli godzić się, przyjaźnić się i zmieniać świat na lepszy. Świat, który mógłby być szczęśliwy bez przemocy.

Po przemowie wszyscy ucichli, analizując te słowa. Susan wpatrywała się w niego zaskoczona, zahipnotyzowana. Gdy już otrząsnęła się z szoku, powiedziała:

– Jedziesz ze mną.

Takim to sposobem wybrano towarzysza wyprawy księżniczki. Przez resztę dni do wypłynięcia Susan i William trenowali sztuki walki oraz uczyli się języków. Studiowali również notatki ojca księżniczki, aby dowiedzieć się, co ich może spotkać. Nadszedł dzień, w którym wyruszyli... Było ciepłe, lipcowe popołudnie, wiał lekki wiatr, a bryza morska ochładzała skórę. Ruszyli w stronę pokładu. Sukienka, w którą matka kazała się ubrać Susan, błyszczała w słońcu. Do niej włożyła jednak wygodne buty rycerskie. William prezentował się tak jak zawsze. Jego kręcone włosy opadały na jedną stronę twarzy, przez co widział tylko na jedno oko. Przybyli do swoich kajut, czekając na odgłos rogu, aby nie musieli się kryć przed ciekawskim tłumem. Róg wydał z siebie przeciągły odgłos, a statek wyruszył na drugą wyprawę do magicznego lasu. Drugą, bo nikt po śmierci króla nie podjął jej ponownie. Podróż trwała trzy dni. Była wyczerpująca przez chorobę morską Williama.

Nadszedł dzień, w którym dopłynęli do granicy wyspy, na której znajdował się las. Otoczona była różową chmurą, jakby z waty, która mieniła się milionem kolorów. Wpłynąwszy w mgłę, dowiedzieli się, co oznaczają wskazówki króla. Ich uszy zaczęły wypełniać się dziwnymi odgłosami, wołaniami o pomoc, ostrzegawczymi krzykami. Podróżnicy zatykali uszy, oprócz naszej dwójki.



Ci z zainteresowaniem wsłuchiwali się i dokładnie opisywali to w notatniku. Wypłynęli z oparów, a ich oczom ukazał się ląd. Nie było taki ląd. Drzewa były pokryte niebieskim bluszczem, który szklął się i wił, sprawiając wrażenie, że jest żywy. Na plaży wylegiwały się syreny, a w oddali można było zauważyć centaury. Nad głowami latały feniksy. Wysiedli, a okręt odpłynął. Spojrzeli na siebie, kiwając głowami, dając znak, aby podejść do jednej z syren.

– Cześć – odchrząknął William, kierując swe słowa do syreny.

– Potrafisz mówić?

– Ludzie są naprawdę głupi.

Stworzenie przemieniło swój rybi ogon na ludzkie odnóża. Otrzeptało się z piasku i wstało.

– Jestem Francis. Mieszkam w tej zatoce od lat i widziałem tu tylko jednego człowieka. Miał na imię Rudolph. Był podobny do was. Ciągłe coś zapisywał. – Hej, ty! – Susan oderwała wzrok od swojego notatnika, poświęcając czas osobie przed nią. – Jak masz na imię?

– Przepraszam?

– Imię!

– Susan.

– Susan? Urocze, a ty młodzieńcze?

– William.

– Miło was poznać. Powinniście ugościć się u grzybowych elfów.

Zaprowadzić was?

Para przytaknęła, podążając za Francisem. Syren przyklasnął w dłonie, mówiąc:

– Przypominałem sobie o czymś. W naszym lesie od ponad stu lat toczy się spór pomiędzy wrózkami, a grzybowymi elfami. Toczy się dokładniej pomiędzy księżniczkami, które walczą o najważniejszy tron. Mówią, że uzyskuje się wtedy moc lasu i kieruje się nią. Ostatnia królowa Mahiki zmarła i nie ma następczyni. Las wskazał na dwie kandydatki, jednak nie doszło do porozumienia.

Wokół trójki zaczęła tworzyć się zielona powłoka wypełniona grzmotami.

– Pozwólcie, że wam pokażę. Elfy i wróżki żyły w zgodzie, dopóki nie wybrano dwóch następczyń... – Chmura kształtowała postacie, a Francis poruszał lekko rękoma. Dwójkę przyjaciół ogarnęło przyjemne uczucie. To była magia. – ...Georgii, księżniczki grzybowych elfów oraz Nikity, królewny wrózek. Ojcowie dziewczyn rozpoczęli dyskusję, jednak król wrózek zdecydował inaczej. Zabił króla elfów i tym rozpętał okropną wojnę. Na polu bitwy krew lała się strumieniami, a krzyki i płacz niesły się echem wśród drzew. Las Mahika odgrodził murem z korzeni wojska, dzięki czemu mamy granicę między królestwem wrózek, a królestwem elfów.

William i Susan poczuli dziwny niepokój związany z byciem tam w trakcie wojny. Mahika to niebezpieczny las. Dotarli do królestwa elfów, gdzie wszyscy mieszkańcy mieli kapelusze różnych grzybów, z których wystawały spiczaste

uszy. Rumieńce były pokryte białymi kropkami jak u muchomora, a na kończynach można było zauważyć zielone pnącza. Za miastem ukazał się ogromny zamek, stworzony z tych samych pnączy, które miały na sobie elfy. Zaraz za twierdzą można było ujrzeć ogromne korzenie sięgające do nieba.

– Chodźmy, przedstawię was księżniczce.

Francis ruszył przed siebie. Gdy dotarli do wrót twierdzy, Francis szepnął coś strażnikowi, a drzwi zostały otwarte. Rozłożył ręce, zapraszając do środka.

– Bycie przyjacielem Georgii daje jakieś przywileje.

Roześmiali się, wchodząc. Na dziedzińcu były posadzone różne kwiaty i drzewa. Bluszcz plótł się wokół głównych drzwi jak kłosa u najpiękniejszej kobiety. Ścieżka była położona obok strumienia, który nieskazitelnie czysty, świecił się jak diament w diademie. Mury dziedzińca były pokryte czerwonymi linami, a niektóre miejsca zdobiły małe grzybki. Wszystko przepełnione magią.

Strażnik wprowadził ich do sali tronowej. Trąbka zaczęła grać hymn. Piękna melodia była jak sztorm na morzu. Trójka ukloniła się, kiedy księżniczka weszła na salę.

– Głupcy, wstańcie – poprosiła dziewczyna.

Susan spojrzała na nią pierwsza. Dziewczę wyglądające na około 20 lat, włosy proste, kasztanowe, twarz *boska* z charakterystycznymi rumieńcami. Sylwetkę miała szczupłą, pokrytą korzeniami, tak jak pozostałe elfy. Susan spojrzała na Williama i jedyne, co zobaczyła, to zachwyconego młodzieńca. Uśmiechnęła się do siebie, wiedząc, co się święci.

– Powiedz, kogo gościmy. Czy to ludzie? – zwróciła się do przyjaciela.

– To William i Susan.

Will ruszył do przodu, biorąc Georgię za rękę, całując jej dłoń.

– Miło poznać Waszą Wysokość.

Druga dziewczyna przewróciła na to oczami, a syren cicho chichotał.

– Jesteśmy badaczami z Piovere, mój ojciec kiedyś obserwował te strony. Chcielibyśmy cię prosić o miejsce, w którym moglibyśmy się przespać i odpocząć.

– Oczywiście, postaram się to zrobić. Francis, odprowadź gości do jadalni.

Rok później cała czwórka przyjaźniła się ze sobą. Mur zapewniał im bezpieczeństwo. Susan odnajdywała szczęście w codziennych badaniach. Odkryła bardzo dużo nowych gatunków. Chodzące liście wyglądały jak przewrócone żdźbła trawy. Miały małe oczy i otwór gębowy. Ich nóżki mogły poruszać się z przerażającą szybkością. Albo misie wielkości żółwi, które zamiast futra miały mech. Ich sierść czyściły liście. Był tam tworzony ekosystem, tak jak u zwykłych organizmów. W Mahice można było znaleźć mnóstwo gatunków, ale opisywanie ich zajęłoby wieki. Susan szła właśnie na spotkanie z przyjaciółmi ze swojego wieczornego obchodu. Rozmyślała, co może znaleźć po drugiej stronie i szukała sposobu, jak zniszczyć mur. Otworzyła drzwi. Przyjaciele mieli ponure miny.

– Co się dzieje?

Francis rzucił przed nią na stół dokument z pieczęcią królewnej wróżki.

– Co to ma...

– Po prostu przeczytaj! – wykrzyknęła Georgia.

Susan odetchnęła i zaczęła czytać:

*– Ja, królowna księstwa wróżki Nikita, chciałabym zakończyć wieloletni spór pomiędzy dwoma królestwami. Ponieważ księżniczka Georgia z powodzeniem odsyłała moje listy, zawierające informacje dotyczące zniesienia stanu wojennego i podpisania pokoju, postanowiłam przejść do skuteczniejszych środków. Liczę, że ten list nie zostanie odesłany. Z powodu naruszenia zasad ustalonych pomiędzy księstwami, wywołuję wojnę. Jutro poproszę w świątyni, aby mur został zniesiony. Gdy tylko to się stanie, oczekuję waszych wojsk na pamiętnym polu bitwy. Jeśli się nie stawicie, konsekwencje będą poważne. Z szacunkiem, którego niektórzy nie mają, Nikita NelOdbrick.*

– Mamy kłopoty.

Po tym oznajmieniu w zamku i w całym miasteczku zapanowała cisza. Cisza przed burzą.

Następnego dnia armia elfów ruszyła na ogromną polanę. Przed nimi rozpościerała się armia wróżki. Nikita latała i wydawała krótkie, lecz rzeczowe rozkazy. Niki, bo tak można było skrócić jej imię, była równie piękna, jak Georgia. Jej przezroczyste skrzydła mieniące się na różowo w konkretnym świetle były czarujące. Włosy Niki również były różowe, miejscami czerwone. Twarz miała łagodną i opanowaną, za to jej fioletoworóżowe oczy były przepełnione determinacją. Niki i Georgia wyszły na środek. Niki podała Georgii rękę, jednak ta druga odmówiła uściśnięcia jej. Wróżka westchnęła i kazała wojsku się ustawić. Żołnierze schowali swoje skrzydła, a ręce włożyli do antymagicznych rękawiczek, które sprawiały, że magia nie działała. Susan podziwiała Nikitę, że chce grać fair play, nawet na wojnie. Georgia dała znak, aby elfy ruszyły na wróżki. Rozpoczęła się bitwa. Nie można było zliczyć, ile elfów czy wróżek zginęło. Włócznie oraz strzały śmigały na prawo i lewo.

Na środku toczyła się bitwa pomiędzy księżniczką a królowną. Na wzgórzu pojawiły się centaury, jednak nie pomogły żadnej ze stron. Nagle Susan usłyszała znajomy krzyk. William Owl, jej towarzysz, upadł na ziemię. On umierał.

– ON UMIERA! – krzyczała łamiącym się głosem. Podbiegła do Willa. – Gdzie jest jego uśmiech? – Will, błagam nie możesz umrzeć. Nie możesz mnie zostawić! Georgia cię potrzebuje! Potrzebujemy cię. Błagam!

Przybiegła Georgia, klękając obok Susan ze łzami płynącymi po policzkach.

– Will, Will!

– Georgia, posłuchaj. Dni spędzone z tobą były najszczęśliwszymi dniami mojego życia. Nie wymieniłbym ich na żadne skarby. Umrę szczęśliwy.

Georgia dała mu ostatni pocałunek i wtedy odezwał się do Susan.

– Nie wiesz, jak jestem ci wdzięczny za to, że mnie wybrałaś. Dzięki tobie znalazłem miłość. Winien ci jestem podziękowania.

– No, już nie wysilaj się tak. Co chcesz jeszcze powiedzieć, bo widzę, że nie wytrzymasz.

– Macie być szczęśliwe. Nieważne kiedy lub gdzie. Bądźcie szczęśliwe. Kocham cię, Georgia.

– Ja ciebie też – słychać było szept elfki.

– Susan, kocham cię siostró. Bądź szczęśliwa.

Po tych słowach z Williama Owla zostało ciało, kilka notatek i wspomnienia. Oba rody stwierdziły, że nie mogą stracić kolejnych ważnych osób. Nikita straciła Melisę, Georgia straciła Willa. Ale zyskali nowy początek. Nowy początek pokoju, który został podpisany krwią ich przyjaciół i kochanków. Krew, która daje szczęście w nowym świecie, pełnym pokoju i bez przemocy. Tak jak chciał Will.

Po wojnie, Susan postanowiła przebadać stronę wróżek. Spełniała prośbę przyjaciela i była szczęśliwa. Kiedy odkryła już wszystko, postanowiła wrócić do Piovere. Siedem lat w magicznej Mahice nauczyły ją bardzo dużo. Losy bohaterów po wojnie zmieniły się na lepsze. Wszyscy byli szczęśliwi.

Ja też dzisiaj jestem szczęśliwa! Zrobiłam to, co kocham. Napisałam opowiadanie! Pisanie daje mi szczęście. Recepta na szczęście jest prosta: robić to, co się kocha! Szczęście. Po prostu...

## Egor Gorin

### CHŁOPIEC, KTÓRY CHCIAŁ ZYSKAĆ PRZYCHYLNOŚĆ LOSU

To jest historia o chłopcu, który chciał zyskać przychylność losu.

Kiedy przychodzi lato, zaczyna się bujny rozkwit życia. Nikt nie chce siedzieć bezczynnie, ktoś pracuje w polu: orze, sieje; ktoś zaczyna różne prace: kuje, topi, piecze. Takie było życie na wsi, gdzie urodził się Adam.

To była niewielka wieś w niewielkim, ale bogatym państwie. Centrum niedalekiego miasta miało wąskie ulice, które niby przesączały się przez małe budynki. Choć Adam nie mieszkał w centrum, a przyszedł spoza miasta, nie przeszkadzało mu to zręcznie przesuwając się przytulnymi zaułkami miasteczka – tak dobrze znał wszystkie te ulice, sklepy, budynki.

Jego ojciec pracował w mieście jako handlowiec. Ale chłopiec nie przyszedł w ten gorący letni dzień pomagać ojcu w sklepie. Niedaleko jedyne w tym mieście kościoła na Adama już czekał Tomasz – jego dawny przyjaciel. To był stary kościół, który zawsze przyciągał uwagę Adama. Czuł jak wszystkie te twarze świętych patrzyły na niego z witraży. Swoimi surowymi i niezłomnymi w wyrazie szklanymi oczami zaglądali chłopcu w duszę, starając się go pouczać.

– Dlaczego tak długo? Gdzie byłeś, Adaś? – burknął Tomasz, zobaczywszy Adama.

– Nie denerwuj się tak, Tomek. Ona jeszcze nie przyszła? – z uśmiechem odpowiedział Adam.

– Jak widzisz, nie.

Po ostatnich słowach Tomasza, jakie tamten niby rzucił w przyjaciela, zza kościoła pokazała się postać: dziewczyna, trochę starsza od Adama, ale wygląd miała młodszy. Była ubrana w sukienkę jasnego odcienia żółtej lilii i miała ładnie splecione włosy na głowie.

Podeszła do Tomasza i Adama i miękko powiedziała:

– Idziemy? Chciałeś mi coś pokazać, Tomasz – mówiła miękko, z uśmiechem.

Niedługo to niewielkie towarzystwo doszło do parku. Adam był z tyłu i mógł tylko obserwować miłą rozmowę jego przyjaciela z dziewczyną, ale za chwilę wszystko się zmieniło, ona odezwała się do Adama.

– Często tutaj chodzisz? – powiedziała, patrząc na niego.

W tej chwili chłopiec mógł prosto spojrzeć w jej oczy – czarujące i bezdenne.

– Nieczęsto, bywam tutaj tylko w okresie wiosny oraz jesieni – odpowiedział, patrząc w jej oczy, niby zanurzając się w nich coraz głębiej.

– Bardzo lubię to miejsce...

Ona mówiła, ale Adam już jej nie słuchał. Nie mógł powiedzieć, że zawsze tutaj chodzi, żeby ją obserwować.

– Idziemy już, jeszcze nie pokazałem wam najważniejszego – wmieszał się w rozmowę Tomasz.

*Na końcu zdążyłem zobaczyć jej uśmiech – ostatnie wspomnienie o niej i o tym wieczorze. „Żeby zyskać przychylność losu, musisz zawsze iść do końca, nie poddawać się” – powiedział mi kiedyś Tomasz.*

Ten wieczór wypełniały jeszcze niezrozumiałe dla Adama uczucia: piękne, zachwycające, jak gdyby odnalazł przychylność losu na chwilę – słodką i przelotną. *Ale za każdym razem, kiedy starałem się zbliżyć, rozumiałem, czym to jest dla niej i to łamało mi serce.* – myślał Adam.

Adam porównał się do przyjaciela. *Jesteśmy różnymi: jestem bogaty, a on biedny, mam wszystko, a on prawie nic. Ale kto naprawdę ma wszystko?* Adam obserwował, jak Tomasz żartuje z dziewczyną i to pytanie za każdym razem powstawało mu w głowie. *W końcu wszyscy mają swoje losy. Będę miał wszystko, co chcę.* Adam patrzył na czerwony zachód słońca, a gdzieś za nim zaczynało się nowe życie.

\* \* \*

Od tego momentu przeszło wiele lat, które uciekły w mroźnych zimach i gorących latach, kwitnących wiosnach i deszczowych jesieniach. Życie chłopca chłonęło to wszystko, co dawała przyroda. Wreszcie stał się mężczyzną z mocnym ciałem i zdrowym umysłem, zaczął studiować na akademii w dużym mieście i odnosił duże sukcesy. Ale niedługo zaczęła się wojna i Adam, jak zwyczajny człowiek w jego wieku, poszedł do armii.

Wojna jest tym czasem, gdy zarówno przyszłość, jak i przyszedły los dzieli się na pół. To jest czas, kiedy ludzka dusza rozdziera się, ideały, marzenia, dążenia szybko się zmieniają, jeżeli w końcu nie zostaną unicestwione.

Wojna zadaje nam pytania o istotę człowieczeństwa. W momencie, kiedy żołnierz, do niedawna jeszcze tylko chłopiec, wskakuje do okopu, chowając się przed wybuchami pocisków, poznaje istotę wojny i jednocześnie część ludzkiej natury, która jest w wojnie zamknięta. Ta związana z wojną część nazywa się pragnienie życia.

Żeby uniknąć wszystkich nieporozumień w tym naprawdę skomplikowanym pytaniu, musimy zastanowić nad tym, co z tej kwestii wynika. Wojna zawsze ma na celu zniszczyć tylko jedno – życie ludzkie. Dlatego zabija w człowieku wszystkie systemy wartości, uczucia, pragnienia, marzenia. Czyli wojna zabiera człowiekowi szczęście. Ale co to jest? Spróbujemy się nad tym zastanowić.

Szczęście według nas, to jest całokształt potrzeb fizycznych oraz stan psychiczny człowieka, który gra w tworzeniu szczęścia główną rolę i właśnie stanowi przedmiot tego badania. Szczęście wynika nie tylko z potrzeb takich, jak jedzenie, picie, spanie, ale i na przykład posiadanie dobrej sytuacji materialnej albo bycie z kochanym człowiekiem. Czyli szczęście opisuje nasz psychiczny stan oraz te zjawiska, jakie także tworzą naszą osobowość i są jednymi z głównych składników ludzkiej psychiki.

Wojna niszczy nie tylko naszą fizyczność, ale najpierw psychikę – to, co czyni nas ludźmi. Przypuszczamy, że coś podobnego czuł i sam Adam, znajdując się w okopie. Leżał, nie czując nic koło siebie, ale coś rozpalało w nim ogień, który dawał mu siły, by walczyć dalej. Wojna niszczyła i jego, powoli budząc w nim pragnienie zniszczenia wszystkiego, co mu przeszkadza.

Pochyliła się nad nim postać.

– Czego tutaj szukasz, synu? – mówiła metalowym głosem. – Kiedy jesteś małej wiary, pomódl się, kiedy braknie sił, nie musisz patrzeć do tyłu, a kiedy nie możesz iść dalej, musisz być pewien, że zrobiłeś dość. Jeżeli to nie o ciebie chodzi, w takim razie nie jesteś godny szczęścia. Jeżeli tylko chcesz wszystko podbić – musisz zapomnieć o ludzkim szczęściu.

*Dlaczego tutaj jestem? Żeby coś sobie udowodnić albo coś odnaleźć?* – myślał Adam. On strzelał i do niego strzelali, żeby podporządkować sobie cały świat. Adam rozumiał to. *Wojna nie ma zwycięzców. Zabiera ludziom wszystko, a jeżeli coś zostawia, to tak mało, choć i to wydaje się szczęściem. Czy ludzie mogą, wbrew temu, je odnaleźć?*

\* \* \*

Upłynęło wiele lat od końca wojny. Świat powoli zaczynał się odbudowywać. Razem z nim i Adam wracał do życia. Zaczynał wszystko od początku. Wreszcie został pisarzem, jak chciał z dzieciństwa i pracował w wielkim wydawnictwie. Z początku pisał tam tylko listy, dokumenty

i artykuły do gazet, ale nigdy nie przestał marzyć o swojej własnej powieści i zostaniu wybitnym pisarzem.

\* \* \*

To była jesień. Żółtoczerwone liście spadały z drzew, krążyły z wiatrem w tańcu. Adam patrzył na to ze swojego gabinetu i myślał o kolejnym artykule do porannego dziennika, nawet nie zauważywszy, jak podszedł do niego człowiek. Kiedy podniósł oczy, zobaczył mężczyznę w dojrzałym wieku, z miękkimi rysami twarzy i delikatnym, przyjemnym uśmiechem.

– Chłopcze, co tutaj robisz? – cicho zapytał tamten.

– *Dziadek?* – pomyślał Adam, ale na głos tego nie wypowiedział. – Piszę – odpowiedział Adam, pokazując ręką na papiery leżące na stole.

– Czy to jest to, co chciałeś pisać całe swoje życie? Znałem ciebie jeszcze od pieluch i teraz jestem rozczarowany, jaką pracą teraz się zajmujesz.

Adam objął wzrokiem stół: nieporządek w papierach, gazety, listy, wszystko to przypominało jakieś księgowe biuro, a nie wydawnictwo. Kiedy podniósł oczy, nikt tam już nie stał. Znow popatrzył w okno, różne myśli przelatywały przez jego głowę.

\* \* \*

Kiedy wieczorem przyszedł do domu, od razu zaczął pisać powieść. Pracował kilka miesięcy i wreszcie powieść była gotowa do druku. Wysłał ją do kilku wydawnictw i czekał z niecierpliwością na odpowiedź. Ale długo odpowiedź nie przychodziła. Adam czekał, ale w jego sercu powoli wzrastała nieufność i uraza. Wreszcie zdecydował się pójść do jednego z nich.

Wszedł do wielkiego gabinetu głównego redaktora jednego z największych wydawnictw w mieście. *Skąd to wszystko?* – myślał, obserwując drogie obrazy na ścianach.

– W czym mogę panu pomóc? – powiedział do Adama przyjemny, niski głos. Przed nim siedział trochę tęgi mężczyzna w średnim wieku i uważnie obserwował Adama.

– Wysłałem panu powieść miesiąc temu, ale jeszcze nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

– Powieść, powieść. Wszyscy chcą, żeby ich utwory zostały należycie ocenione, ale nie wszyscy mają do tego prawo. Niech pan spróbuje wymyślić sobie świat, w którym istnieją wszystkie powieści i opowiadania. Ale co wtedy będzie, jakie wtedy miejsce będzie zajmowała doskonała poezja? Wszystkie utwory mają być poprawnie ocenione – to jest dla pana moja odpowiedź. Jeżeli pan to rozumie, może, być może zostanie pan dobrym pisarzem.

Mówił to nieprzyjemnie, nawet grubiańsko. Adam nie mógł się z nim zgodzić, zresztą naprawdę napisał dobrą powieść, ale niekiedy trafiają nam się tacy ludzie.

\* \* \*

To był prawdziwy cios. Nie tracił nadziei na odpowiedź z innych wydawnictw, ale nic nie przychodziło. Adam wiedział, że jego powieść nie jest zła, dlatego w jego duszy powoli wzrastała złość. Zaczął pisać nową powieść. Pracował nad nią jeszcze pilniej niż wcześniej. Włożył w nią wszystkie swoje doświadczenia i uczucia. Wreszcie przyszła odpowiedź, że tę chcą wydać.

\* \* \*

Powieść odniosła wielki sukces. Niedługo Adam zaczął pojawiać się na stronach gazet, a dziennikarze walczyli o wywiad z nim. Z czasem zaczął bogato żyć, otrzymał wielkie kontrakty z wydawnictw z całego kraju i zasłużył na powszechne uznanie. Wreszcie zapomniał o wszystkim: rodzinie, otaczających go ludziach i nawet o pisarstwie. Zostało w nim tylko jedno marzenie – otrzymywać wszystko, co chce. A ulubionym miejscem stał się balkon w jego nowej willi, z którego miał widok na świat.

*Czy tego chciałem w swoim życiu?* Ostatnimi czasy nie opuszczały go te myśli. Coś w nim zaczynało się budzić. Adam nie chciał więcej nad tym się zastanawiać, odwrócił się w inną stronę, żeby nie widzieć pięknego widoku.

- Uciekasz? – Usłyszał metaliczny głos za sobą.
- Od czego?! Osiągnąłem wszystko, co chciałem – burknął Adam.
- Jesteś tego naprawdę pewny? – rozległ się znajomy Adamowi żeński głos. Już chciał się odwrócić, ale tylko uśmiechnął się i powiedział:
- No tak, nie potrzebuję teraz nic innego... oprócz...
- Oprócz czego? – znów rozległ się głos, ale ten był miękki i przyjemny.

Adam odwrócił się, ale nikogo koło siebie nie zobaczył. W tej chwili ciężki ból ścisnął piersi i oddech. Szybko pobiegł do pokoju. Przerzucił wszystkie papiery, pieniądze. To wyglądało tak, jakby starał się odnaleźć przeszłe życie. Szukał swojej pierwszej literackiej pracy, tego, co jeszcze wiązało go z przeszłością, ale niestety nie mógł jej znaleźć.

*Co ja w końcu mam?* Upadł na podłogę. Przez prawie zamknięte oczy, starał się zobaczyć swój pokój, ale teraz był on mu obcy.

Podeszła do niego postać.

– Pamiętasz: *Żeby zyskać przychyłność losu, musisz zawsze iść do końca, nie poddawać się?* – Adam usłyszał bardzo znajomy mu głos. – Kiedy jesteś małej wiary, pomódl się, kiedy braknie sił, nie musisz patrzeć do tyłu, a kiedy nie możesz iść dalej, musisz być pewien, że zrobiłeś dość – głos mówił dalej, a Adam cierpiał. – Myślałeś, że wszystko możesz, jeżeli zechcesz, że do wszystkiego masz prawo? Niestety, nie jest tak: nie wszyscy mają do tego prawo – to był ostatni cios dla Adama.

Przez przymknięte oczy zobaczył świat, który rozpościerał się za jego oknem. Widział, jak po ulicy jeżdżą samochody, w parkach spacerują pary, bawią się dzieci. To był dla niego od dawna zapomniany świat. Świat, który on – chłopiec ze wsi – chciał zrobić swoim, żeby zyskać przychyłność losu.



# KATEGORIA SCENA DRAMATYCZNA

I nagroda

**Hanna Buko**, II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej  
w Katowicach

**Hanna Buko**

## O CZŁOWIEKU, KTÓRY OBEJŚĆ CHCIAŁ ZASADY, PAKTUJĄC Z BOGAMI

Postacie występujące w dramacie:

**Herakliusz** – mężczyzna o muskularnej budowie, mieszkaniec Aten, chce być wielkim herosem, nie lubi, jak inni myślą jego imię, szóstkowy uczeń lekcji retoryki

**Atena** – grecka bogini mądrości, sztuki i sprawiedliwej wojny, piękna i pewna siebie, wielka fanka boysbandów

### AKT I

*Ateny, otwarta przestrzeń za miastem z widokiem na gaj oliwny i śnieżnobiałą zabudowę miasta. Pośrodku przed stosem drewna z drzewa oliwnego stoi muskularny mężczyzna o imieniu Herakliusz w białym chitonie, z rozpuszczonymi włosami i uniesionymi ku górze rękami. Mówi wzniosłym głosem.*

### HERAKLIUSZ

Jam jest Herakliusz! Bohater, o którym słyszała cała ziemia, na dźwięk mego głosu drzewa wypuszczają soczyste owoce, kozy dają najlepsze mleko, a dzieci nagle przestają płakać. To o mnie będzie uczyć się kolejne pokolenie greckich wojowników broniących naszego kraju, to na moją cześć będą stawiać największe i najpotężniejsze świątynie i to do mnie będą wzdychać kobiety, które jeszcze tego o dziwo nie czynią. Już nikt nie będzie mylił mojego imienia z imieniem tego bękarta Herkulesa, od dzisiaj to właśnie jego imię będzie tym podrzędnym, bo przerosnę bohatera, który je nosił! Tak, to ja – wielki Herakliusz! By osiągnąć to wszystko, potrzebuję jeszcze tylko jednej rzeczy...

*Podchodzi do drewna z drzewa oliwnego, klęka przy nim i rozpala ogień za pomocą krzesiwa wyjętego z fałd chitonu.*

## HERAKLIUSZ

Ateno! Bogini mądrości, sztuki i sprawiedliwej wojny! O zniewalająco piękna i silna patronko mego rodzinnego miasta, która czuwała nad moją kołyską każdej nocy! Przyjdź, bo wierny twój sługa wznosi swój głos do ciebie z prośbą, której racz poświęcić chwil kilka z twego nieskończonego życia. Oto ja, gotowy stanąć u twego boku w każdym momencie, by wesprzeć Cię swoim silnym ramieniem, błagam o wysłu-

*Atena w długim białym peplosie, z rozpuszczonymi włosami i złotym wieńcem na głowie wchodzi na scenę do klęczącego do niej tyłem Herakliusza i odchodzi kilka kroków z obrzydzeniem.*

## ATENA

Zanim postanowisz wesprzeć mnie tym ramieniem, to radzę ci zapoznać się z Odontokremiuszem...

*Zdziwiony Herakliusz zrywa się na nogi, odwraca się i pada przed Ateną. Pyta drżącym z przerażenia głosem.*

## HERAKLIUSZ

P-p-pani, wybac mi wychwalona, lecz nie usłyszałem cichych twych kroków... Błagam o rozgrzeszenie mnie również z mojego roztargnienia, ale obawiam się, że nie znam wspomnianego przez ciebie człowieka...

## ATENA

Oj! To, że go nie znasz, zauważyłam już wcześniej i by uchronić innych, którzy zbliżą się do ciebie, zdradzę ci, że jest to bóg, który wynalazł tak zwaną pastę do zębów. Wspaniały wynalazek, ale wielu bohaterów o nim nigdy nie słyszało – na przykład taki Herkules... uuu ten chłop to dopiero miał dech. Nie dziwię się, że jego żona podarowała mu tę zatrutą koszulę, bo jakbym ja miała całować się z takim jak on, to bym musiała po takim incydencie wykąpać się w Lete, by o tym zapomnieć. Ale czego mogłam się spodziewać, przecież to twój imiennik...

*Oburzony Herakliusz podnosi się z klęczek, lecz Atena z powrotem przygniata go stopą do ziemi, by został w tej pozycji i zaczyna oglądać swoje paznokcie.*

## HERAKLIUSZ

Wielebna! Me imię na pewno nie jest tym obleśnie brzmiącym imieniem bohatera, którego przed chwilą wspomniałaś. Jest ono o wiele piękniejsze i potężniejsze oraz brzmi jak krople deszczu opadające na soczyste liście drzew oliwnych w twym świętym gaju lub jak śmiech młodej, pięknej kobiety po usłyszeniu wielce zaba-

**ATENA**

No Herkules...

**HERAKLIUSZ**

Jam jest Herakliusz!

**ATENA**

No mówię, że Herkul-

**HERAKLIUSZ**

Pani moja! Błagam! Nie powtarzaj tego skażonego imienia! Me imię to H-e-r-a-k-l-i-u-s-z. „H” jak hiacynty o pastelowych kolorach na łące wiosennego poranka, pokryte rosą spadającą z nich z każdym delikatnym podmuchem chłodnego wiatru. „E” jak elokwencja największych greckich filozofów, takich jak wybitny Pitagoras lub legendarny Arystoteles, którzy zostaną w pamięci naszych rodaków na wieczność... lecz muszę napomknąć, że w elokwencji nie są w stanie się ze mną równać. „R” jak radość na twarzy małych dzieci, gdy ujrzą one w końcu pierwsze promyki słońca za oknem w dniu, którego wyczekiwały od dawna. „A” jak...

*Atena kuca, ujmując w dłoń twarz Herakliusza i mówi słodkim głosem patrząc mu prosto w oczy.*

**ATENA**

Mój drogi! Czy ty naprawdę literujesz teraz bogini mądrości swoje imię? Chyba potrafisz nauczyć się imienia osoby, którą poznaję, więc czy z łaski swojej mógłbyś skończyć z tą błazenadą, wreszcie podnieść się na nogi i w końcu przejść do rzeczy?

**HERAKLIUSZ**

T-tak moja pani...

*Atena podnosi się, a Herakliusz powoli robi to samo, obserwując dokładnie ruchy bogini. Pada z powrotem na ziemię, gdy widzi, jak podnosi ona nogę. Okazuje się, że robi to tylko po to, by poprawić rzemień w sandale. Herakliusz wstaje.*

**ATENA**

Więc... jaką sprawę do mnie miałeś Herkulesie?

*Herakliusz bierze głęboki wdech i już otwiera usta, ale Atena mu przerywa.*

## **ATENA**

Jeżeli masz zamiar znowu literować swoje imię, to pamiętaj, że skończyłeś na literze „A”, natomiast nie obiecuję, że nadal będziesz tu stał o własnych siłach, zanim dojdiesz do litery „K”.

*Herakliusz po cichu literuje swoje imię i liczy na palcach, by sprawdzić, gdzie jest litera „K”. Po chwili podnosi wzrok i patrzy z przerażeniem na Atenę, która wzdycha z rezygnacją.*

## **ATENA**

Widzę, że może to trochę potrwać, więc zacznę za ciebie, a ty dokończ: „O wielka Ateno! Ja... wielki bohater... coś tam coś tam... błagam ciebie o...”

## **HERAKLIUSZ**

...o spełnienie marzenia skrytego w głębi mojego szczerego serca.

## **ATENA**

Czyli...

## **HERAKLIUSZ**

Pani! Ja nie jestem tym pomniejszym bohaterem z kategorii Jazona czy Achillesa, by wpierw zdradzać swoje pragnienie. W pierwszej kolejności zapłacę ci cenę, jaką wyznaczysz, a dopiero później zdradzę ci, czego pragnie moja dusza.

*Atena patrzy na niego ze zdziwieniem i wybucha śmiechem.*

## **ATENA**

Ty tak serio?

## **HERAKLIUSZ**

Ateno... Ja zawsze jestem szczerzy. Bezgranicznie ufam, że spełnisz moje życzenie. Jesteś bowiem boginią sprawiedliwości.

## **ATENA**

Tia... sprawiedliwości i połamanych kości. No cóż! Upartego nie przegadasz... bywa i tak. Czy to jest ten moment, kiedy ja mówię, co chcę dostać, a ty musisz to zdobyć, najpewniej przy tym umierając?

## **HERAKLIUSZ**

Zapewniam cię, że w moim przypadku do tego nie dojdzie. Nie ma takiej opcji, że coś będzie w stanie mnie pokonać.

**ATENA**

Mhm. Fedon też tak mówił...

**HERAKLIUSZ**

A kimże był ten Fedon?

**ATENA**

No właśnie...

*Zapada chwila niezręcznej ciszy.*

**ATENA**

No cóż, bywa i tak... Wracając do meritum – czegoż ja mogę chcieć? Głowę Meduzy? Jedna mi wystarczy. Złote runo? Gdzie ja bym to trzymała? Jabłko? Ostatnio skończyło się podstępem z drewnianym koniem wypełnionym spoconymi mężczyznami. Podsumowując, nie potrzebuję powtórki. Wiem!

*Atena staje dumna i wyprostowana przed Herakliuszem, a następnie mówi podniosłym głosem.*

**ATENA**

Mój dzielny bohaterze! Ja, Atena – bogini mądrości, sztuki i sprawiedliwej wojny proszę cię, byś przyniósł mi autografy wszystkich członków zespołu „Two Olympics”. Gdy otrzymam od ciebie tę niezwykle trudną do zdobycia rzecz, spełnię niewypowiedziane jeszcze przez ciebie życzenie. Liczę na ciebie Herkulesie! Przybądź żywy ze swej wyprawy!

*Atena odwraca się i odchodzi nucąc olimpijską wersję piosenki „What Makes You Beautiful”. Herakliusz stoi z szeroko otwartymi oczami, a po chwili schodzi powoli ze sceny mówiąc pod nosem.*

**HERAKLIUSZ**

Herakliusz – tak brzmi moje imię... „A”, jak astrologia – nauka opisująca wyjątkowe i zachwycające obiekty na nocnym oraz dziennym niebie, które zapierają nam...

**AKT II**

*Miejsce pierwszego spotkania Herakliusza z Ateną, na środku leży nowy stos drewna z drzewa oliwnego. Na scenę wchodzi Herakliusz i zapala stos, przed którym klęka.*

## **HERAKLIUSZ**

Ateno! Bogini mądrości, sztuki i sprawiedliwej wojny, z łaskawości swojej przybądź do wiernego twego sługi...

*Na scenę wchodzi Atena, wystrojona w różnoraką złotą biżuterię, z wymyślnie upiętymi włosami. Na ramionach ma bogato zdobiony himation (czyli wierzchnie okrycie).*

## **ATENA**

Tak, tak... twego sługi Herkulesa, którego głos zniewala hordy urodziwych niewiast.

*Herakliusz wstaje, podchodzi i klęka przed boginią, wyciąga kartkę i trzyma ją z namaszczeniem w dłoniach.*

## **HERAKLIUSZ**

O pani! Jestem wielce rad, że postanowiłaś zaszczyścić mnie swoją osobą. Pewnie ogromnie uszczęśliwi cię fakt, że posiadam dla ciebie przedmiot, po który wysłałaś mnie w ogromnie niebezpieczną podróż, podczas której musiałem pokonać rzesze młodych Greczynek, nimf, driad i boginek walczących niczym Amazonki, które ujrzały lub wyczuły swoimi niezwykle zmysłami zmierzającego ku nim mężczyznę. Musiałem zmierzyć się z nimi w walce o szansę zbliżenia się do twojego ulubionego zespołu, ale oto po długich bojach, po których na moim ciele pozostało wiele zadrapań i ugryzień, zdobyłem autografy sławnych muzyków, których imiona brzmią: Orfeusz, Linos, Marsjasz, Muzajos i Tamyris.

*Atena uśmiecha się promiennie i wyrywa kartkę z rąk Herakliusza z dziewczęcym piskiem, przygląda się jej i chowa.*

## **ATENA**

Dobrze, więc przejdźmy teraz do tej dalszej i mniej przyjemnej części, gdzie mówisz w końcu, czego ode mnie oczekujesz.

## **HERAKLIUSZ**

O pani! To, o co cię błagam jest rzeczą niezwykle dla mnie ważną, ponieważ jest to coś, czego nie mogę zdobyć siłą moich umięśnionych ramion, ani moją wykraczającą poza ludzkie pojęcie inteligencją...

## **ATENA**

Błagam! Do rzeczy człowieku, bo będziemy tu stać do przyszłego stulecia i choć nie wątpię, że ja dalej będę wyglądała olśniewająco, to z tobą może być trochę gorzej.

*Herakliusz odchrząkuje, wstaje i podnosi dumnie głowę.*

**ATENA**

Legenda głosi że ludzie błagający o przysługi na kolanach częściej zostają wysłuchani, ale wiesz, to tylko taka mała pogłoska, jaką kiedyś usłyszałam.

*Herakliusz nadal stoi, bohaterowie patrzą sobie w oczy, a Atena nagle głośno tupie nogą i Herakliusz od razu pada na podłogę.*

**HERAKLIUSZ**

Wszechmocna Ateno! Proszę cię o szczęście i pomyślność w życiu, czyli o tak zwaną fortunę.

*Atena patrzy na Herakliusza i próbuje powstrzymać śmiech cisnący jej się na usta.*

**ATENA**

Drogi mój bohaterze! Czy nie pomyślałeś o tym, że z prośbą o fortunę można by było zwrócić się do bogini, której imię brzmi... hmm... no pomyślmy... Fortuna?

**HERAKLIUSZ**

Do kogo, moja pani?

**ATENA**

No do Fortuny... tej od szczęścia, losu i powodzenia... Takie tam pierdoły. Ja mogę ci dać mądrość, zwycięstwa w bitwach i zdolność zamieniania ludzi w kamień w bonusie do wężowych włosów, ale pomyślność to nie moja działka.

*Herakliusz siada, chwyta się za głowę. Jest na skraju załamania i prawie płacze.*

**HERAKLIUSZ**

Nie do wiary! Jak ja – wielki Herakliusz – mogłem popełnić tak ogromny błąd? Jak mogłem się tak pomylić? A mój mądry nauczyciel powtarzał, że przyda mi się wiedza na temat istot boskich, lecz ja byłem mądrzejszy i uważałem to za wiedzę niepotrzebną wybitnemu wojownikowi. Byłem pewien, że Atena spełni każde moje marzenie, a teraz okazuje się, że ta piękna bogini tak naprawdę nie jest w stanie tego zrobić!

**ATENA**

Ja chciałam tylko przypomnieć, że nadal tu jestem i w każdym momencie możesz dołączyć do Fedona.

**HERAKLIUSZ**

A kimże był Fedon?

**ATENA**

No właśnie.

*Zapada chwila niezręcznej ciszy. Atena wzdycha i siada obok Herakliusza.*

**ATENA**

Herakliusz! Jeżeli zgodzisz się wysłuchać tak zwanej bogini mądrości, która czasami powie coś sensownego, to dowiesz się, że jest też inny sposób, by zdobyć przychyłność losu. Wy ludzie często tego nie widzicie, ale musicie zacząć doceniać wasze życie, bo jest ono bardzo ulotne i delikatne, jak pajęcza sieć. Jeden mocniejszy podmuch wiatru może przenieść je w zupełnie inne miejsce lub może sprawić coś o wiele gorszego. Moja rada dla ciebie to po prostu: łap dzień i żyj tak, jakby jutra miało nie być. Zapewniam cię, że jeżeli dodatkowo uwierzysz, że świat stoi po twojej stronie, to szczęścia będziesz miał pod dostatkiem.

**HERAKLIUSZ**

O pani! Nazwałaś mnie moim prawdziwym imieniem! Wielki to zaszczyt dla mnie śmiertelnika wiernie tobie poddanemu.

**ATENA**

Przecież zawsze mówię do ciebie twoim imieniem Herkulesie, więc nie wiem zbytnio o co ci chodzi w tym momencie i chyba nie chcę wiedzieć.

*Atena wstaje, otrzepuje peplos i patrzy na rękę w miejsce, gdzie powinna mieć zegarek.*

**ATENA**

No, a jak mowa o chwytności dnia, to muszę już uciekać.

**HERAKLIUSZ**

Toż to oczywiste! Jest pani przecież boginią, więc nie ma nic dziwnego w tym, że tylu ludzi pragnie otrzymać radę prosto od najmądrzejszej istoty we wszechświecie.

**ATENA**

Co? Aa... nie, no coś ty! Umówiłam się z Fortuną, bo idziemy razem na koncert „Two Olympics”!



## **HERAKLIUSZ**

Czy to oznacza, że Fortuna również jest fanką tego rozchwytywanego zespołu?

## **ATENA**

No raczej! Dobra, muszę lecieć. Miło było poznać. Carpe diem i te sprawy!

*Atena podśpiewując, tanecznym krokiem schodzi ze sceny. Herakliusz wyciąga kartkę z fałd chitonu.*

## **HERAKLIUSZ**

Chciałem zachować dla siebie te drogocenne autografy... Nawet już kupiłem na nie specjalną ramkę, lecz jak widać zdobycie powodzenia w życiu kosztuje wiele wyrzeczeń i poświęceń.

*Herakliusz wstaje i krzyczy w stronę, w którą odeszła Atena.*

## **HERAKLIUSZ**

Pani Ateno! Błagam! Poczekaj na twego bohatera, bo posiadam dar, który chcę ofiarować wspaniałej Fortunie w zamian za małą przysługę!

*Herakliusz podśpiewując, schodzi bardzo powoli ze sceny tanecznym krokiem. Słychać głos Ateny zza kulis.*

## **ATENA**

Ruchy Herkulesie!

*Herakliusz staje i mówi podniosłym głosem.*

## **HERAKLIUSZ**

Jam jest Herakliusz! „K” jak koło, czyli idealna i doskonała figura geometryczna wymyślona przez...

*Zza kulis słychać huk. Herakliusz przełyka ślinę.*

## **HERAKLIUSZ**

Dobrze, zrozumiałem moja pani! Już pędzę do ciebie najszybciej, jak tylko me bohaterskie nogi mogą mnie ponieść, bym w mgnieniu oka mógł znaleźć się u twego bo-

*Słychać kolejny huk i Herakliusz wybiega ze sceny.*

**KONIEC**

# KATEGORIA PIOSENKA

I nagroda

**Jakub Stanisławski**, Niepubliczne Liceum Ogólnokształcące  
Fundacji Królowej Świętej Jadwigi w Koszarawie

**Jakub Stanisławski**

## RÓŻOWE OKULARY

Pytasz o najlepszy dzień to zawsze ten następny  
Nie wiem co się wydarzy dlatego najpiękniejszy  
Może w końcu wbiję golda albo zagram koncerty  
A może wersem zaskoczę całą globalną wioskę  
To nie żaden podstęp tylko zwykła logika  
Ale jak mam opisać jeden dzień to zmienmy bita  
Idę po różowe okulary chwilę porozmyślam  
Zaraz wam opowiem moje cukierkowe przeżycia

Różowe okulary jadę moim dodge'em  
Po tę jedyną dziewczynę do której chciałem podejść  
A teraz się toczę i mam ją za żonę  
Mamy dzieci w drodze i mamy własny domek  
Mamy własny lasek własne grzyby i jagody  
Pomyśl ile musiałem zrobić by to stworzyć  
Dzisiaj już spokojnie wykonałem robotę  
To wszystko to moje koniec burzy piaskowej w głowie  
Mam tylko jeden problem skończyło mi się sudoku  
A nie paliwo w baku nie mam też żadnych pokus  
Nie brak mi niczego ani ziomów ani bratków  
Rodzinie dałem willę label mi rozkwita jak Tatooine

Ref. Ej urządzamy grilla dla moich przyjaciół powiem że mam syna  
Przyjedzie Filip Grzesiu i Dante  
Przyjedzie Jędrzej Kerixon weźmie Darię  
Oskero Fifu Natka Iza z nowym chłopakiem  
Będzie też Chochół Oliwia i Franek  
I Tyśka i Stachu i Gosia i Janek  
I Kacper i Dawid z Łosic i z Tychów może wpadnie

Byłem małym raperkiem wyrósł ze mnie raper  
Tak jak RAV czwórka zrobiła się Dodge'em RAM-em  
Przerwałem Deathloop, Fmw moim światem  
Wy go tworzycie dlatego posłuchajcie  
Chcę mieć was bliżej tak blisko jak mamę  
Jak Kochanowski córkę lub znacznie bardziej  
Spójrzcie za górkę co to postawiłeś bramę  
Przedstawiam wam najmilszy teren budowy chatek  
Dla każdego z was po jednej no przecież a jakże  
Trzymajcie projekty budujcie domy marzeń  
To wy mnie stworzyliście dlatego się odpłacę  
Bez was nie ma Fmw to jest ważniejsze niż ważne  
Proszę was zgódźcie się ze mną zamieszkajcie  
Będę miał dziecko potrzebuję nianie  
I najlepszych wujków którzy nauczą że zawsze  
Na pierwszym miejscu trzeba stawiać relacje

Ref. Podjęli decyzję zostają ze mną na stałe  
Wznoszę toast za wszystko co dalej  
Tańczymy śpiewamy i wszyscy i w parze  
Piękny to był dzień wzdycham kończąc kanapkę  
Ale trzeba wracać muszę pomóc mamie  
Zdejmuję okulary i jak bóbr się zalałem  
Stary co się stało mów nam zaraz prawdę  
Taka piękna wizja że aż się popłakałem

### **Tłumaczenie tekstu piosenki *Różowe okulary***

*Wbiję golda* – chodzi o rangę (w tym przypadku złoto) w popularnej grze *League of Legends*.

*Różowe okulary* – po ich założeniu utworzę najpiękniejszy świat, jaki byłbym w stanie stworzyć.

*Jadę moim dodge'm* – Dodge, firma produkująca samochody. Dodge, a dokładniej Dodge Challenger SRT Demon jest moim wymarzonym samochodem.

*Koniec burzy piaskowej w głowie* – żadne problemy nie zaprzatają mi już głowy. Odeszły w niepamięć wszelakie stresy i mogę rozkoszować się życiem.

*Label mi rozkwita jak Tatooine* – Tatooine, planeta z uniwersum *Gwiezdnych wojen*. Kiedyś miała bardzo bogaty ekosystem, była cała zielona. W czasach,

w których rozgrywają się filmy jest pustynną planetą, ale ja odnoszę się do jej czasów świetności.

W refrenie wymieniam część moich najbliższych przyjaciół. Słowa *Kerixon* czy *Chochół*, to ksywy niektórych z nich.

*Tak jak RAV czwórka zrobiła się Dodge'em RAM-em* – RAV4 to model samochodu produkowanego przez Toyotę. To mała terenówka, a Dodge RAM, to ogromny samochód terenowy ze stajni Dodge'a, który również chciałbym w przyszłości posiadać. Wers *RAV czwórka zrobiła się Dodge'em RAM-em* oznacza, najprościej mówiąc, mój rozwój i większe możliwości w porównaniu do początku.

*Przerwałem Deathloop, Fmw moim światem – Deathloop*, tytuł gry komputerowej, opowiadającej o pętli, w której jeden dzień non stop się powtarza. Miejsce akcji jest poza czasem. Celem głównego bohatera jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, jak przerwać Deathloop i go zakończyć, uwolnić się z niego. Używam słowa *Deathloop* jako pokonania zabójczej dla mnie pętli problemów i serii okropnych dla mnie sytuacji. Zakończenie pewnego niedającego się pokonać rozdziału.

*Fmw* – skrót od Find My World. Tworu, który wymyśliłem i wciąż rozwijam. Fmw jest dla mnie przedsięwzięciem, które tworzą m.in. moi przyjaciele, pomagając mi w moich projektach, ale też codziennym życiu. Oprócz tego Fmw jest moim profilem na Instagramie z różnego typu zdjęciami miasta, przyrody itp. Fmw jest ewoluującym i szeroko pojętym bytem. W przyszłości będzie czymś więcej niż tylko kontem instagramowym ze zdjęciami, ale o tym opowiem za parę lat.

*Jak Kochanowski córkę* – chodzi oczywiście o Urszulkę, w której pokładał wielkie nadzieje na przyszłość, związane z szeroko pojętą sztuką. Kochanowski niestety pożegnał najbliższe mu dziecko, co nie oznacza, że ja również. Tak jak Kochanowskiemu, mnie też chodzi stricte o bliskość, relację i inspirację, jakie na pewno przyniosła mu córka.

*To wy mnie stworzyliście – z kim przystajesz, takim się stajesz*, jestem w dużym stopniu wynikową osób, z którymi się trzymam. Oni mi pomogli, jak było trzeba, a ja im. Razem dorastaliśmy i uczyliśmy się żyć.

*Jak bóbr się zalałem – płakać jak bóbr*, chodzi o płacz.

*Że aż się popłakałem* – ze wzruszenia.

# WYRÓŻNIENIA SPECJALNE

nagroda jurorki Urszuli Kijak

**Franciszek Pawełczyk**, Technikum nr 4 Transportowe w Sosnowcu

nagroda jurorki Katarzyny Matwiejczuk

**Iga Gaj**, III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach

nagroda jurora Roberta Strzały

**Iryna Usoltseva**, Państwowa Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna II stopnia im. Karola Szymanowskiego w Katowicach.

**Franciszek Pawełczyk**

\* \* \*

Wojownik, sam pośród pustych ścian, wśród nieposkromionej ciszy wybudza się ze swojego snu! Naprężone mięśnie ukazują się na mojej szarej bluzie. W takt wchodzi pas na moim brzuchu oraz piersi, zaraz potem buty i dżinsy. A na mojej głowie do wtóru z kapturem zielona bandana. *Szybki niczym wiatr! Nieuchwytny niczym ogień! Potężny niczym błyskawica!* Z wielkim hukiem upadam na zbudowanego robocika, niszcząc go. Trzeba było się rozgrzać. Byłem... Ciemnym wojownikiem! Nie... Kurka... Może coś innego? Z kulą? Czarna kula? Ach nie... I z powrotem na ścianę.. *Drapieżny jak wilk! Nieuchwytny jak czas! Potężny jak trzęsienie ziemi!* Przebiłem się między ścianami, niszcząc napotkane na mojej drodze roboty. Zauważyłem ostatniego na samym dole, poszukującego mojego śladu. W momencie jego nieuwagi wyskoczyłem na niego, uderzając o ziemię i wytwarzając wielką falę uderzeniową, która w momencie rozwalila wszystkie roboty mnie otaczające. Ciemny wojownik!.. zaraz.. czy tego już – ARGH!! Wtem alarm rozbrzmiał w bazie. Włączyłem światło i omijając szczątki maszyn podszedłem do swojego monitora. To był Vlad! Ach, kto to był? A nikt taki... Tylko mój jakby chłopak? W końcu dostał się do przejścia między sektorami! W końcu! Po tylu tygodniach planowania!

*Zostań tam, gdzie jesteś! Już ruszam! Niesamowite! Pora na akcję!*

*PING!*

*Co? Kolejne powiadomienie? Kto to był? Włączając program, zauważyłem wiadomość od Maksa. Mojego i Vlada najlepszego przyjaciela. Co? Co jest? Też jest przy przejściu między sektorami? Co? Aż wyciągnąłem mapę z niedowierzania. Tak. Brama sektor 13 a/b. Zaraz obok terenu, na którym jest Vlad.*

*Czemu to robisz, debilu?*

*W końcu po tygodniach planów się z wami spotkam! – Co? Jakich tygodniach?*

*Z Vladem to uzgadniałem.*

*Maks! Ta misja jest zbyt ryzykowna! Twój teren jest niesamowicie narażony na atak robotów!.. ugh... ukryj się! Wkrótce się tam dostanę! Nie wpakuj się żadnym z nich pod mordy!*

*Świetnie! Teraz jeszcze Maks się przypałał... Miałem więc misję! Musiałem się dostać do elektrowni na pograniczu, tam znajdę odpowiednie rzeczy do wyłączenia mocy obu bram. Muszę przejść jedynie przez wioskę „Kudowa Zdrój”. Powinienem tam być do dnia maksymalnie.*

Odchodząc od monitora, spakowałem najważniejszy ekwipunek, założyłem swój kask i wskoczyłem na mój dwukołowiec. Załączyłem swój pojazd oraz otworzyłem przejście. Pora zacząć zabawę! Wskoczyłem wprost na piasek. Koła od razu przystosowały się do podłoża. Słońce prażyło moje czoło. Na przodzie zauważyłem dwójkę cwaniaczków (tak, chodzi mi o roboty). Odwróciły się i zaczęły we mnie strzelać. Ominąłem ich ciosy i skokiem z motoru przebiłem jednego na wylot mieczem! Drugi próbował zaatakować, jednak zwinnymi ruchami ominąłem jego ataki. Kopem go odepchnąłem, a następnie podzielił los swojego przyjaciela, wraz z mieczem w swojej klatce piersiowej. Końca jednak nie było. Piasek się poruszył i wkoło mnie wyłoniło się więcej maszyn. Były gotowe na strzał. Cóż – niedoczekanie! W mojej dłoni zaczęła się żarzyć błyskawica. Wraz z ich strzałem, wskoczyłem w górę, a na koniec zamknąłem pokaz każdego rażąc prądem. Wszystkie natychmiast upadły. *Pięknie.* Z powrotem wróciłem na swój motor i kontynuowałem podróż.

Po wielu godzinach w końcu trafiłem do wioski. Stojąc w progu nie dało się słyszeć niczego... Nie znaczyło to nic dobrego. Tu nigdy nie jest cicho. Wyciągnąłem miecz, gotów do ewentualnego ataku. Wtem krzyk doszedł z jednego z domków po prawej. Robot wyskoczył z kobietą w rękach. Od razu rzuciłem się na napastnika. Widząc mnie, próbował mnie zestrzelić jak rybkę, jednak treningi nie poszły na marne. Stosując uniki doszedłem do robota i przeciąłem jego przewody, łapiąc kobietę w moje ramiona. Postawiłem ją na ziemi, a ona podziękowała za ratunek. Ale cóż... taka już moja robota. Według

jej doniesień mieszkańcy byli porywani do elektrowni. Wykorzystywali ją więc również jako więzienie! Przerażeni udzie ukryli się w swoich domach przed kolejnym atakiem. *Dlatego było tu aż tak cicho...* Ostatnio udało im się porwać matkę wraz z jej synami. Musiałem uwolnić tych ludzi. Kobieta chciała mnie powstrzymać przed podjęciem pochopnych decyzji, jednak to nie był mój wybór. Musiałem ich uratować. Ktoś na mnie tam czekał. Pora ruszać, aby dostać się do elektrowni przed zmrokiem. Wsiadłem ponownie na mój motor i ruszyłem w dal.

Droga sprzyjała moim rozmyślaniam. Co mogę zrobić, jak spotkam się z Vladem? Tyle jest do zrobienia! Może zakończymy tę inwazję? Zamieszkamy razem? Spędzimy całe życie i – okej... już szedłem dość daleko. Trzeba było najpierw stąd uciec. Byliśmy poszukiwani. Musiałem jednak wpierw uwolnić go wraz z Maksem. Tacy dobrzy kumple. Tyle ze sobą rozmawiają... Przede mną pojawił się obraz. Kobieta z dziećmi ucieka przed dwoma robotami. Robotom udaje się złapać rodzinę po dłuższej chwili. Chcą ich zaciągnąć z powrotem w tył. *Nie na mojej zmianie!* Skierowałem swój pojazd wprost na nich, gwizdząc, zwracając ich uwagę na siebie. Nacisnąłem przycisk wystawiający boczne ostrza. Wyskoczyłem, a kobieta oraz jej dzieci w ostatnim momencie upadły na ziemię. Roboty od razu skonały, tak jak zostały przecięte. Przycisnąłem swoje klucze i motor od razu do mnie powrócił. Skierowałem się ku ofiarom. Kobiecie ani dzieciom nic nie było. Byli gotowi na ucieczkę.

– Kim jesteś?

– To nie jest istotne. Czy to wy jesteście osobami, które roboty niedawno porwały do elektrowni?

– Tak jest. Byłeś w naszej wiosce?

– Tak, ludzie się tam ukrywają, jednak teraz nie ma tam żadnego oblężenia.

– Gdzie się kierujesz? Czy ty idziesz... tam?

– Tak... mam kogoś, z kim muszę się spotkać.

– Jestem szczęściarą, że udało mi się na ciebie trafić.

– Ja... już kogoś mam, przepraszam.

– Nie o to mi chodziło..

– Ależ... Tak! Jaaaa to wiedziałem... he he.

Musiałem wykonać pewną decyzję.

– Proszę to wziąć.– Rzuciłem kobiecie klucze oraz kask. – Niestety kask jest tylko jeden. Musicie się trzymać blisko mamy, dzieci!

Kobieta nie chciała przyjąć podarku, jednak nalegałem. Szybciej dostaną się do wioski. Zwróciłem się ku wschodowi. Jeszcze udało mi się usłyszeć od niej:

– Jest tam mój namiot! Jeszcze rozstawiony! Zrób tam postój, bohaterze.

– Dziękuję kobieto. Jestem ci wdzięczny.

W obozie patrzyłem wprost na gwiazdy. Spokój obejmował cały teren. Nie mogłem myśleć o niczym innym! Vlad, Maks. *Co oni teraz robili? Maks bardzo chciał się spotkać z Vladem, czy oni są ze sobą za moimi plecami? Czy on mnie nadal kochał...?* Chciałem wyciągnąć telefon, ręka już tam sięgała, jednak

musiałem się powstrzymać! Coś mnie... zmuszało. Kusiło, szeptało do ucha... NIE! Wyrwałem się z tego transu. *Co się ze mną dzieje? Ja mu ufam! Nie jestem taki!* Spojrzałem na wprost. Wystarczyło tego, nie mogłem dalej zwlekać. Musiałem ruszać dalej.

Nastąpiła ta chwila. Przede mną pojawiła się wielka, pusta i szara elektrownia. Idealne miejsce zbrodni. Wyciągnąłem noktowizor oraz podręczny przyrząd hakerski. Pod siatką elektryczną wzbiłem się w powietrze i przeskoczyłem na drugą stronę. W ścianie namierzyłem kratę wentylacyjną. Wyważyłem ją nogą i wszedłem do środka. Powoli przechodziłem przez wentylacyjne korytarze. Pod sobą widziałem roboty, które krzątały się po korytarzach. W tym miejscu nie powinny mnie znaleźć. Nie było tu żadnych kamer, aby mnie móc dostrzec. Po przejściu kilkudziesięciu metrów zauważyłem, że zaczęło się ściemniać. To było tu! Włączyłem gogle i zacząłem szukać źródła światła. Znalazłszy kratę, otworzyłem ją i spuściłem w dół pył. Cała podłoga zaczęła świecić się na czerwono. *Lasery, oczywiście. Banalna zagrywka.* Zawisłem swoim ciałem na krawędzi i rzuciłem się na kokpit. Wcisnąłem przycisk, który od razu dezaktywował alarm w pokoju. Zszedłem na podłogę i wyciągnąłem swój przyrząd, który zaaplikowałem na panel. Cały budynek był pod moją kontrolą! Szybko wyłączyłem najważniejsze systemy: kamery, więzienne cele oraz bramę do Vlada! Teraz można było uciekać! Ruszyłem ku wejściu do pokoju. Na zewnątrz aż buczało od kroków. Roboty zaczęły szturmować uciekinierów. Trzeba im było pomóc! Wkroczyłem do grupy. Każdy pomagał każdemu! W szybkim tempie przeczyściliśmy przejście oraz przedostaliśmy się do głównych drzwi. Wymagało to kilku prób, jednak udało nam się je wyważyć ciężarem naszych ciał. To był koniec! Wszyscy uciekli... Wtedy sobie przypomniałem... mój błąd... Zamiast Maksa! O nie! Nie wyłączyłem jego bramy! Musiałem tam wrócić! Przepchnąłem się przez tłum uciekający ku wyjściu i zjeżdżając po poręczy dostałem się do pokoju kontrolnego. Cały w nerwach wyłączyłem resztę dźwigni. W tym momencie w całym pokoju rozbrzmiał donośny ryk syren. Aktywowałem alarm! Cholera! Wybiegłem na korytarz. Przywitała mnie gromada robotów zbiegających na dół w moją stronę. Cofnąłem się i wytworzyłem między nami ścianę lodu, która miała mi kupić trochę czasu... trochę. Po chwili rzucili się na nią. Zamknąłem drzwi i zacząłem myśleć. Nie miałem pomysłu, byłem w pułapce! Od góry już słyszałem szumy maszyn przechodzących po systemie wentylacyjnym. Strzeliłem w tamtą stronę wiązką lodu. Napierali z obu stron. *Nie nie nie... co zrobić, CO ZROBIĆ?* Mój wzrok ostatecznie padł ponownie na kokpit. *Jeżeli to się uda... to zakończę to tu i teraz!* Przeprogramowałem cały system i rozkręciłem wszystkie zawory. System zaczął się przeciążać. Jeszcze moment iiii – cały kokpit wyleciał w powietrze! Za nim zaczęły wybuchać kolejne kable i urządzenia do nich podłączone. Momentalnie zrobiło się gorąco! Do pokoju wpadły roboty, które zaczęły mnie oblegać. Musiałem je zatrzymać w miejscu. *No chodźcie!* Wyciągnąłem miecz i zacząłem się bronić. Atakowały z lewa



i prawa, próbując mnie pochwycić. Coraz trudniej mi było się obronić. Odepchałem, uderzałem, ale pojawiało się ich coraz więcej i więcej. *Jeszcze tylko sekunda.* Z sufitu zaczęły spadać odłamki, a cały budynek zaczął się trząść, wtedy... nastąpiła EKSPLOZJA! Wyrzuciła nas wszystkich w tył. Poczułem tę wielką siłę, która we mnie uderzyła. Była niewyobrażalna! Poczułem jak upadam na piasek. Całe ciało... bolało... Wstałem i osłupiały zobaczyłem całą elektrownię w zgliszczach. Mechaniczne części latały jak szalone wokół mnie. To był koniec... Strefa 12 oficjalnie została oczyszczona. W momencie byłem gotowy do biegu. Zostawiłem to za sobą! Już o nic innego nie dbałem! Ból nic już dla mnie nie znaczył! Zacząłem biec przed siebie! Widziałem bramę! Przebiegłem przez jej próg. W oddali zauważyłem sylwetkę. Kto to – to był Vlad! W końcu! Cały byłem uśmiechnięty, gotowy, aby go zobaczyć... wtedy z lewej zauważyłem Maksa. Biegł też w jego stronę. Zatrzymałem się, jednak on biegł dalej, dopóki nie stanął zaraz przy nim. Chmury się nade mną zebrały i wydały jeden wielki grzmot gdzieś w oddali. *Co to było... Strach? Radość? Co mnie teraz ogarniało...* Vlad otworzył swoje ramiona, gotów, aby mnie w nie porwać, jednak... wykonałem krok w tył. Zawołał mnie po imieniu... ja jednak nie zareagowałem... czy coś zrobiłem nie tak? Zająknąłem się:

– J-ja... – spojrzałem na Maksa.

– Co się dzieje... Czy coś zrobiłem nie tak? – odezwał się.

– T-to nie tak. Udało mi się, ale... ja tu nie należę. To wy powinniście uciekać razem... – Natychmiast osłupieli. – Ja muszę iść... w końcu, jak można tęsknić za kimś, kogo się nie zna? Tyle lat ukrywam się za tą maską, że stałem się własnym cieniem! Mam coś do załatwienia i tak.

Odszedłem. Przeszedłem obok nich. Usłyszałem jak Vlad za mną woła... musiałem być silny... to nie było moje miejsce... wtedy... ktoś mnie złapał.

– Kłamiesz. – Wiedział. – Czemu chcesz odejść?

– Boję się... Boję się, że cię stracę... nawet nie wiesz, ile lat siedziałem sam. Trenowałem całe moje życie w tej bazie, kiedy to całe gówno się zaczęło. Dzień w dzień. Tyle osób już uratowałem, a nikt nigdy nie uratował mnie. Pragnąłem być tym jedynym dla tej jednej osoby, a kiedy się pojawiłeś... Nie umiem pozbyć się wrażenia, że nie jestem wystarczający... tyle osób cię ubóstwia, kocha... Co możesz zauważyć we mnie? Czy muszę znowu zostać sam?

– Czemu mi nic nie powiedziałeś?

– Nie chciałem ci zawracać głowy... masz ważniejsze sprawy.

Wtedy poczułem, jak coś mnie obejmuje. Jego ciało zbliżyło się ku memu.

– Nie czuj się tak. Jesteś dla mnie najważniejszy. Nie wiesz, ile czekałem na to spotkanie, aby ci pokazać to, co czuję, ile czasu możemy spędzić. Nikt nigdy nie był dla mnie taką osobą, jaką ty jesteś teraz dla mnie. Od miesięcy przy mnie czuwasz. Kiedy byłem sam, przerażony, byłeś moją ucieczką od rzeczywistości.

Nikt mnie nigdy nie stawiał na pierwszym miejscu. Nie pozwolę ci ode mnie odejść, kiedy cię w końcu znalazłem...

– J-jak mogę ci ufać?

– A darzysz mnie zaufaniem?

– ...Oczywiście!

Oddałem uścisk i objąłem go. Pogoda momentalnie się poprawiła. Spojrzałem przez ramię na Maksa stojącego z boku. Złapałem go za rękę i porwałem go w nasz uścisk. Wszyscy razem.

– Pora iść – stwierdził.

– Nie do końca... – Stałem z boku, wpatrując się w przestrzeń przede mną, w to pustkowienie.

– Czy ty chcesz tam wracać?

– Nie myślałem, żeby to zrobić sam. – Byli bardzo zdziwieni. – Chciałem to zrobić razem, dokończyć tę sprawę!

– My nie jesteśmy wojownikami! – rzekł Maks.

– Jesteście. Patrzcie, co przeszliście! Sam doszedłem do tego momentu, wy również, jednak razem możemy zdziałać więcej, jako drużyna. Ludzie tam umierają... potrzebują naszej pomocy. To jak, chłopaki?

Vlad się uśmiechnął i stanął przy moim boku.

– Jestem z tobą.

– Przecież walczyć nie umiemy!

– Co to za postawa! Naganna!k – Vlad zawtórował swoim śmiechem. Maks przewrócił tylko oczami.

– Dobra, dobra, mistrzuuu...? – Uśmiechnął się pod nosem. – Jak to było?

– Sam nie wiem... możeeee... ehh... nie mam pomysłu... – westchnąłem pokonany.

– Spokojnie... jeszcze dużo drogi przed nami. Dojdiesz do tego. – Uśmiechnął się. Miał piękny uśmiech.

– No dobra, ale posłuchajcie mnie...

I tak mówiłem całą drogę. Świat stał przed nami otworem. Ale byliśmy razem. Teraz nic nas nie pokona, niczym niewyciężeni muszkietrzy, staniemy ramię w ramię. Nigdy się nie czułem tak, jak z nimi. Byłem spokojny o naszą przyszłość. Choć musieliśmy jeszcze dokonać wielu rzeczy, mogłem już powiedzieć, że byłem w domu.

## Iga Gaj

\* \* \*

Szczęście. Tak ciężko je odnaleźć, mimo że leży tuż przed nami. Czasem jednak to tylko złuda. Nie jesteśmy w stanie oprzeć się iluzji, jaką sobie sami stworzyliśmy. W końcu to tylko gra, którą nazywamy życiem. Wieki temu była sobie pewna istota. Żyła, lecz nie posiadała czegoś, czego pragnęła najbardziej – serca. Została stworzona przez jednego z bogów w wyniku eksperymentu.

Pąki kwiatów otwierają się i rozpylają nasiona, dając życie nowym roślinom. Pisarz tworzy nową historię dzięki swojemu pióru, a malarz pędzlem oddaje obraz nowego świata. Tak powstał także Ludis – naczynie boga jednej z części świata, Acory – któremu nadano ludzkie funkcje życiowe. Eksperyment miał na celu ujrzenia reakcji stworzonej marionetki na bodźce. Okazało się, iż ma ona własną wolę i skończyło się to sukcesem. Bóg postanowił puścić istotę wolno i więcej do niej nie wracać. Została niewzruszenie porzucona. Jaką ogromną złość musiała mieć w sobie owa istota. Jaka rozpacz kierowała nią z powodu bycia tą „gorszą”. Nie była w stanie spokojnie spać bez napełniających oczy kropel łez, niczym rosa o chłodnym poranku. Co najważniejsze, w ciele tego nic nikomu nie winnego stworzenia narodziło się coś większego, znacznie żarliwszego i opętującego – chęć zemsty. Tylko to motywowało je do stąpania po świecie. Czy aby na pewno taka idea jest w stanie utrzymać się odpowiednio długo? Ta forma życia z wyglądu przypominała zwykłego człowieka, osobnika męskiego. Przez cały ten czas po porzuceniu wtapiała się w ludzi i w ten sposób nauczyła się przetrwania. Dowiadywania się nowych rzeczy, zyskania utopijnego miana „człowieczeństwa”, którego tak naprawdę nie miała. Z każdą minioną wiosną nasz bohater nabywał coraz więcej cech ludzkich – łącznie z tymi negatywnymi. Stworzenie stało się ich (ludzi) marionetką. Niestety wpadnięcie w wir brutalnego świata nie jest takie, jak każdy z początku by sobie wyobrażał. Lecz czy jest to nieodwracalne?

Wstępnie stworzenie, kruche niczym porcelanowa lalka, nie wiedziało, co zrobić. Było takie słabe. Wiedziało tyle o tym świecie, co nic. Tułało się ono samotnie, szukając schronień i pożywienia, by przeżyć. Nieraz na swojej drodze spotykało zbirów, którzy, mimo że nie mieli czego mu ukraść, nie traktowali go dobrze. Pewnego dnia samotnika przygarnęła hojna rodzina. Składała się z mężczyzny, kobiety i ich dwóch pociech. Ludzie w wiosce nie przymykała na niego oczu, nie ufali mu. Jednak domownicy, którzy go przyjęli z otwartymi ramionami stali się przyjaciółmi Ludisa. Stworzenie zaczęło zastanawiać się, czy nie poznaje właśnie, czym jest szczęście, powoli zapominając o zemście. Za drobne prace domowe istota otrzymywała jedzenie i miejsce do spania. Pewnego razu jedno z dzieci spytało chłopaka, bo tak możemy go nazwać, kim tak naprawdę jest. Ten z kolei uśmiechnął się i odpowiedział z pewnością, iż uznaje się za podróżnika tego świata, a z czasem maluchy dowiedzą się więcej.

Choć czy na pewno tak będzie? Ludis nie miał pojęcia, kim był, za kogo ma się uważać, a co dopiero podawać. Tak bardzo zaburzony miał obraz samego siebie, iż kwestia ta stała się od tego dnia jedną z najczęściej siedzących w jego głowie. Był tym zdruzgotany, ba, czasem przesiadywał tak zamyślony na łonie natury, że prawie nic nie było w stanie go z tego obudzić. Lecz nie na długo. Wszystko, co dotychczas zdobył: zaufanie ludzi, rodzinę, przyjaciół, którzy go zrozumieli najlepiej, legło w gruzach. Gdy był na przechadzce, by zdobyć drewno, w tym samym czasie napadnięto na wioskę. Do teraz nikt nie wie jak, lecz do wąwozu dostały się potężne stwory o ogromnych szponach przypominające wilki. Nieliczni przeżyli atak. Niestety nie zaliczali się do nich przyjaciele, można rzec rodzina, nowego osiedleńca. Zaczęto stwarzać przeróżne teorie na temat dostania się wilczurów do wioski. Jedną z nich była przeklęta obecność samego Ludisa. Tajemniczy gość był dla mieszkańców osiedla zagrożeniem. Bohater, który był bogu ducha winny, został uznany za potwora i po wielu próbach tłumaczenia poddał się. Przy nim zostały jedynie wspomnienia, jakie zdążył stworzyć z rodziną. Długie nocne rozmowy z gospodarzem, pomoc w opiece nad dziećmi, wspólne przygotowania posiłków z gospodynią i wycieczki, jakie odbyli. To wszystko było już jedynie przeszłością. Ludis nie był w stanie się z tym pogodzić. Zadawał sobie pytania: „Dlaczego ja?” czy też „Jak zyskać przychyłność losu?”. Czy aby na pewno istnieją na to odpowiedzi? Wygoniony z tamtejszego ludu chłopak znów został tułaczem bez celu. Nie chciał już więcej zbliżać się do ludzi. Bał się ich. To prowadziło jedynie do cierpienia. Do rozpacz. Nasz bohater do tej chwili wiele się nauczył. Umiał już pisać, czytać i znał inne podstawowe czynności przydające się na co dzień. Lecz jak miał je wykorzystać? Miesiącami ponownie włóczył się tam i ówdzie. W tym czasie, namówiony, zdążył dołączyć do sekty. Nie widząc nigdzie celu, nie miał nic do stracenia. Lecz nadal nie mógł odczuwać niczego nowego. Swoim rękami w tym czasie pozwolił zdecydować o ludzkim żywocie. Bez wzruszenia pozbawił jednego mężczyznę życia. Jedyne, co wzrosło u niego, to obrzydzenie do ludzi i ich niedorzeczności. Jednak on nie był od nich w ogóle lepszy. W mgnieniu oka mógł stać się maszyną do zabijania. Jednak samo uczestnictwo w czymś takim jak sekta nie było niczym innym, jak rozrywką, chęcią stłumienia refleksji w jego umyśle.

On wiedział, czym w teorii jest śmierć, czym jest nadzieja, której nie potrafił odczuć. Śmierć. To kara czy ratunek? Ostateczność czy początek? Z tymi myślami Ludis nie umiał usiedzieć na miejscu. Nic nie było w stanie zatrzymać tego wiru idei. W końcu nie mógł wytrzymać. Jego myśli rozgniały go od środka. Mimo stałej wewnętrznej walki chłopaka, one go pokonywały.

Jak to czytał w książkach, postanowił iż skoczy z wysokiego klifu. Gdy odnalazł już owo miejsce, czekał tylko na wybrany dzień, by to zakończyć. Zastanawiał się, jak to jest. Czy naprawdę to wszystko ot tak może zniknąć? Czy faktycznie nie może jeszcze poczekać, aż bóg się nad nim zlituje? Nie... Na to nie było już szans, w końcu sam go opuścił.

Nadszedł oczekiwany dzień. Bohater był pewny, że go to nie rusza, lecz jego ręce trzęsły się, nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a po wiotkim ciele spływał zimny pot. Stojąc na brzegu klifu długo patrzył przed siebie. Doprawdy były tam niesamowite widoki. Przed nim rozlegał się cały świat. A on postanowił od niego odejść. W pewnym momencie usłyszał cichy głos.

– Na pewno chcesz to zrobić? – Ludis nie odwracał się, sądząc, iż słyszy swoje myśli. Uznał, że zwariował.

– A czy na pewno jest powód, żeby tego nie robić? – spytał sam siebie.

– Nie wiem. Sam widzisz, przed tobą jest jeszcze mnóstwo do ujrzenia – odpowiedział głos wraz z rozbrzmiewającym szumem wiatru. Barwa, jaką miał ów głos był wielce kojący i błogi, wręcz usypiający. Jego miękkość przez chwilę przyciszyła zataczające się wkoło zdania w głowie bohatera. Jakby otworzyła Ludisa na świat, poczuł, jakby właśnie odzyskał nieposiadane nigdy serce. Wymiękł, a z jego oczu zaczęły wylewać się łzy, tworząc strumyki na jego policzkach.

– Ależ co ja mam zrobić... – Ludis w końcu odwrócił się, jakby z niepewności, a tam zobaczył opierającego się o drzewo, patrzącego gdzieś w bok rudowłosego chłopaka. Otarł słonawe krople z twarzy i szczerze czuł zażenowanie takim znizeniem się przed człowiekiem, który zakłócił mu właśnie istotną decyzję, być może pozwalając na nową. Nadal jednak jego wzruszenie nie dawało się pohamować. Cóż za los spotkał naszego bohatera.

– Żyj. Żyj z bólem, który dotychczas nosisz na swych barkach, a twoje serce oczyści rzecz inna. Dołącz do mnie i wspólnie podróżujmy przed siebie. – Po tym tajemniczy człowiek wyciągnął pomału dłoń w stronę Ludisa.

Ten z kolei nie wiedział, jak zareagować. Zakręciło mu się w głowie, o mało co nie stracił równowagi. Czy warto było zaufać ludzkiej istocie?

Minęły trzy miesiące od spotkania nowego przybysza. Zwał się on Nikolai. Któż wie, czy uratował naszego bohatera przed stratą. Lecz utrzymał go przy życiu i do tego momentu błakali się razem po świecie. Mimo tak krótkiego czasu dwaj chłopcy zaprzyjaźnili się ze sobą. Jednak rudowłosey nie wiedział jeszcze jednego. O prawdziwej twarzy Ludisa. Ten nie chciał przywoływać swej przeszłości, a Nikolai nie miał nic przeciwko temu. Ale chęć pokazania siebie, nieoszukiwania zaufanego towarzysza męczyła bohatera. Bał się utracenia tego, co zostało tak ciężko zdobyte. Przywiązanie to kwestia pojawiająca się w życiu każdej istoty. Relacje są niczym nici, im większe zaufanie obu stron, tym nić grubsza i mocniejsza. Lecz żadna z nich nie jest niezniszczalna. Wystarczy jeden ruch, by przeciąć najsilniejszą z nich. Dlatego nasz bohater bardzo się wahał. Jednak pewnego dnia zdołał rozpocząć rozmowę.

– Nie jesteś ciekaw, kim tak naprawdę jestem? – spytał Ludis niepewnie.

– Jesteś dla mnie tym, kogo widzę i dotychczas widziałem, czyż nie wspominałem ci już o tym? Zresztą sam nie wiesz, kim byłem w przeszłości – rzekł Nikolai, zasłaniając oczy od promyków słońca.

To prawda. Sam Ludis nie spodziewał się po sobie, że zaufa i da szansę komuś, kogo nie zna w stu procentach. Mimo to, czuł on się bezpiecznie.

Życie to jedynie sen, z którego wkrótce trzeba będzie się obudzić. Czy śmierć można nazwać pobudką? Czy nie jest to rozpoczęcie wiecznego snu? To ciekawiło głównego bohatera. Kwestia życia i śmierci prowadziła do rozważań na temat szczęścia, losu i nadziei. Czy Ludis był teraz szczęśliwy? Nie był w stanie odpowiedzieć sobie na to pytanie. Jednak nadeszła jedna chwila, która przerwała natłok myśli.

Pewnego poranka, gdy świt rozpoczął pojawiać się na niebie Nikolai z Ludisem szli przez świat natury. Między nimi panowała cisza, lecz komfortowa. Ruszali w stronę Mglistych Gór, by dowiedzieć się o zaklęciu, o którym dano im słyszeć. Rudowłosy chłopiec prowadził, a tuż za nim nasza istota bez serca stąpała przed siebie pogrążona. Zamyślenie bohatera było tak wielkie, iż nie zauważał niczego wokół siebie. Aż do momentu, gdy wpadł na plecy przyjaciela zatrzymującego się na chwilę. O mało się nie przewrócili. Lecz gdy Ludis podniósł wzrok, jego oczom ukazała się sceneria, jak ze snu. Poranna rosa okrywała każde źdźbło trawy i wszystkie listki, by potem powoli opadać w dół, obijając się o różnorakie kamienie. Słońce zaglądało zza bujnych koron drzew, tworząc żywy i wielobarwny obraz. A w jego świetle uśmiechał się towarzysz chłopca, który nie miał zamiaru go opuszczać. Nie tylko rośliny budziły podziw, ale także zwierzęta, które po obudzeniu krzątały się, żeby zdobyć pożywienie. Nie mogło być lepiej. Ludis prychnął śmiechem, a Nikolai zerknął na niego ze zdziwieniem. Lecz nie spodziewał się tego, co miało się stać. Twór boski tuż nad przepaścią rozłożył ramiona i ze łzami szczęścia naumyślnie utracił równowagę.

To były ułamki sekundy. Bohater spadł w dół.

Szczęście to jedynie chwila, skrawek papieru. Pragniemy, by trwało jak najdłużej, w nieskończoność. Czy to możliwe? Nie wiemy... Jednakże z pewnością chwila ta dla Ludisa była najlepszą chwilą w życiu. Zyskał spokój i harmonię ducha, której wcześniej nie potrafił odnaleźć. Los jest niesprawiedliwy. Prawda jest taka, iż nie jesteśmy w stanie zyskać przychylności losu. To kłamstwo, którym próbujemy ułatwić sobie życie. Los jest brutalny. Lecz z pewnością mówi, że bez względu na wszystko, należy po prostu żyć dalej. Żyć, wiedząc, iż zaraz napotkamy coś, czego się nie spodziewaliśmy.

**Iryna Usoltseva**

## **DYM, DESZCZ**

Rozproszony dym ogarnął wieczorne miasto. A wśród tej mgły szli ludzie. Słońce zachodziło za wcześnie, a noc była długa. Szedłem szarą, zatłoczoną ulicą i obserwowałem przechodniów. Każdy wydawał mi się interesujący, każdy niósł własną historię. W oknach bloków paliło się światło, czasami w tym blasku można było zobaczyć obrysy ludzi. Tak bardzo chciałem zostać duchem i po prostu podróżować między tymi mieszkaniami, obserwować życie i rutynę zwykłych ludzi.

Szedłem dalej. Mimo całej nudy i szarizny tego miasta, uwielbiałem spacerować między jego ulicami.

Gwizd pociągu. Krzywe domy, zupełnie stare i prawie niezamieszkane towarzyszyły torom kolejowym. Zatrzymałem się przy jednym z nich, otworzyłem odrapane drzwi i wszedłem do środka. W pokoju z wyblakłą tapetą świeciła słabo lampa. Kilku chłopaków siedziało po kątach, ogrzewając się nawzajem ciepłem swoich ciał. Toczyli ekscytującą rozmowę, nie zważając na zimno. Gdy mnie zobaczyli, uśmiechy na ich twarzach stały się jeszcze jaśniejsze.

– Józef przyszedł!!!

– Jak ci minął dzień?

– Przyniosłeś coś?

– Dlaczego tak późno?

Wyciągając chleb i mały worek pęczaku z płócienniej torby, odpowiedziałem jednym zdaniem:

– Dzisiaj... nie był zbyt dobry dzień...

– Znowu ci nie zapłacili? – zapytał chłopak, który wyszedł z sąsiedniego pokoju.

– Tak...

Po wymianie kilku zdań, usiadłem na materacu przy oknie, patrząc na przejeżdżający pociąg. Jutro kolejny dzień mojej udręki na budowie. Gdy zacząłem tam pracować, liczyłem na jakikolwiek zarobek, ale zamiast tego dostaję chleb i kaszę. Teraz jest wielu takich jak ja, czasy nie są spokojne. Ludzie stracili domy i rodziny. Dlatego jestem wdzięczny za to, co dają, nawet jeśli to okruchy. Wiem, że ciasto leży na stole bogatych ludzi, a na moim jest tylko pustka.

Położyłem się na cienkim materacu w kącie pokoju i owinąłem się lekko postrzępionym kocem. Jeden z chłopców przyniósł mi kubek gorącej herbaty. Herbata to ważna rzecz w takich zimnych czasach. Przez całe lato zbieraliśmy liście gruszki, jabłka i wiśni. Udało nam się nawet zdobyć miętę. Teraz mamy kilka worków liści stłoczonych w kącie sąsiedniego pokoju. Kiedy brakowało jedzenia, to właśnie herbata ratowała nas od złych myśli, a kiedy zimno

ogarnęło nasze ciała, to właśnie ona dawała odrobinę upragnionego ciepła. Jeszcze bardziej zawinałem się w koc i zacząłem wyglądać przez okno. Od czasu do czasu podłoga drżała od przejeżdżającego pociągu.

W czasie wojny straciłem rodzinę. Mnie wywieźli i umieścili w sierocińcu. Tam nie było źle, ale pewnego dnia znów musiałem ruszyć w drogę, bo wojna zmierzała w moim kierunku. W pociągu, pod deszczem bomb, myślałem, że umrę. Pamiętam tę noc. Pamiętam, że pociąg drżał od wybuchów. Pamiętam te straszne chwile, kiedy w myślach już się poddałem i wydawało mi się, że nigdy więcej nie zobaczę słońca. Ale przeżyłem. W niekończącym się chaosie marzyłem o spokoju. Jednak życie wymaga ruchu. Musiałem walczyć o przetrwanie.

Potem trafiłem do innego sierocińca i ta historia nie skończyła się dobrze.

Kilka chwil później już spałem. Za oknem wył wiatr, a dym z fabryk tkął piękne wzory na nocnym niebie. Śniłem o tym pociągu i tej najciemniejszej nocy w moim życiu. Jeszcze nie świtało, ale musiałem już wstać, bo pracę na budowie zaczyna się dość wcześnie. Było zimno i cicho. Latarnie wciąż świeciły, rzucając blask w ciemność ulic. Założyłem szerokie robocze spodnie i wzięłem kilka kawałków chleba. Moja ścieżka biegła wzdłuż torów kolejowych. Wiele osób już wstało i szykowało się do pracy. Wokół majaczyły sylwetki ludzi chodzących we mgle.

Przypominałem sobie moment, kiedy obok mnie spadł pocisk. Nic nie słyszałem ani nie widziałem. Wtedy też była taka sama biała mgła i tylko odległy głos życia prowadził mnie do światła. W drugim sierocińcu spokojne życie nie trwało długo. Ludzie nadal się zabijali, a granica między życiem a śmiercią się zatarła.

– Hej ty!!! Idź po te belki!!! A wy nie stójcie tam! Pomóżcie mu!

Majster wyrwał mnie ze wspomnień. Stojący przede mną mężczyzna, który bardzo lubił opowiadać o życiu, spojrzał na mnie i zapytał:

– Jak się masz? Jak mają się chłopcy?

– W porządku... Niedawno pojawiły się wieści, że rodzice Jana najprawdopodobniej żyją... Przynajmniej matka...

– Nieszczęśliwy dzieciaku! – podrapał się po głowie i chwycił belki. – Eh... Żal mi ciebie. Jesteś bardzo dobry. To smutne, że przydarzyło się to twojej rodzinie.

Wszyscy mówią mi to samo. Co mi po ich współczuciu? Czy zamknie moje rany, czy pomoże ogrzać mnie w zimne noce? Niektórzy mają szczęście, inni nie. Nigdy nie mogłem zrozumieć tego koła fortuny. Wielu ludzi umarło na moich oczach i często nawiedzały mnie myśli: „To mógłbym być ja”.

Ale mimo wszystko przeżyłem. Gdy dźwigałem belki, pomyślałem, że ten ładunek nie jest tak ciężki, jak ten, który noszę. I nie jest taki męczący.

Kiedy ja i kilku innych ocalałych uciekliśmy z mojego drugiego sierocińca, natknęliśmy się na wrogiego żołnierza. Wycelował w nas broń, nawet nie zapytał, kim jesteśmy. Nie obchodziło go, do kogo strzela. Wśród nas były



kobiety i dzieci. To był mój pomysł, aby iść tą drogą. Może gdybyśmy szli inną, nie spotkalibyśmy nikogo. Nogi mi się trzęsły. Byłem całkowicie bezsilny. Nie padły już między nami żadne słowa, tylko odgłosy wystrzałów. Uciekłem stamtąd, bo byłem szybszy od innych. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Nie wiedziałem, jak żyć z ciężarem tylu istnień na sumieniu. Może byłoby lepiej, gdybym też tam umarł?

Chciałem iść jak najdalej od tego miejsca. Przede mną pojawiła się sylwetka, która ruszyła w moim kierunku. Szedłem wzdłuż szarej ulicy zrujnowanego miasta, ledwo stojąc na nogach. Nagle z mgły wyszedł żołnierz trzymający przed sobą broń. Strach znów zaczął mną rządzić, ale już nie uciekałem. Usiadłem na ziemi i ścisnąłem rękami kolana.

– Dlaczego jesteś tu sam? – zapytał żołnierz, chowając broń za plecami.

– Bo... – odpowiedziałem obojętnie.

– Słuchaj, musisz się stąd wydostać. Pomogę ci. Czy wiesz, gdzie są twoi rodzice?

Żołnierz milczał przez chwilę, jakby próbował coś zrozumieć. Potem odezwał się ponownie:

– Przeżyłeś i to jest szczęście. Wiele osób ginie na wojnie. Często myślę, że mógłbym być następnym, ale śmierć jeszcze nie wyciąga ku mnie swoich czarnych rąk. Jesteś ulubieńcem losu, bo przeżyłeś w takiej sytuacji. To jest wojna, zasady moralne tu nie działają. Jeśli żyjesz, musisz iść dalej.

Po tym spotkaniu często zadawałem sobie pytania: „Czy to szczęście, czy przekleństwo? Czy mogę być szczęśliwy w tym szarym świecie?”.

– Uwważaj!!! – Po raz kolejny krzyki robotników rozwiały moje myśli.

Głośno zagrzechotał jakiś metalowy przedmiot i coś błysnęło nade mną. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, był cień strachu na twarzy mężczyzny, który szedł przede mną. Udało mi się wyczytać w jego oczach: „To mógłbym być ja”.

Następnie światło zgasło.

Było zimno i gorąco jednocześnie. Wszystko pomieszało się w mojej głowie. Wydawało mi się, że ktoś do mnie dzwoni, ale potem dzwonek ucichł. Oddychałem z łatwością, cała gorycz zniknęła.

To była zwykła wiosna, najzwyklejsza... Jak powiew ciepłego powietrza po mroźnej zimie. Jakby nie było ni wojny, ni ludzi, ni mnie – tylko wieczna wiosna.

Lekki wiatr potargał moje włosy. W cieniu wielkiego drzewa, na delikatnej wiosennej trawie, zamknąłem oczy i cieszyłem się ciszą. Wśród tych zielonych drzew z mokrymi liśćmi po ciepłym deszczu, poczułem wreszcie spokój. Drobną deszcz uderzał o młode liście, a słońce świeciło niezwykłym miękkim światłem. Byłem gotowy tak leżeć przez całą wieczność, w spokoju, wreszcie odpoczywając od wszystkiego.

„W całym moim życiu jest to najszczęśliwszy moment, jaki przedłużyłbym do wieczności” – pomyślałem przed tym, jak zamknąłem oczy. Nagle poczułem, jakby ktoś wrzucił mnie do zimnej wody. Wszystko stało się boleśnie znajome,

szare i obrzydliwe. Przed oczami zobaczyłem brudną twarz robotnika, który ochrypłym głosem zawołał do mnie:

– Hej, chłopcze, jak się czujesz?

Moje chwilowe zmieszanie poruszyło ludzi stojących nade mną.

– Jak tam, żyjesz?

– Myślałem, że już nie odzyska przytomności!

– Miał szczęście, że go tylko drasnęło!

Milczałem. Moje myśli wciąż były na tej zielonej łące, w tym deszczu.

W porównaniu do tamtego świata, ten jest po prostu szarą ziemią.

Od tego czasu mam prosty plan – żyć dalej. Kocham życie pomimo całego jego okrucieństwa wobec mnie. Doceniam każdą podarowaną mi chwilę, ale moja dusza jest jeszcze tam, między tymi drzewami, pod tym lekkim deszczem!

Redakcja i korekta: Renata Chudecka  
Koordynator projektu: Anna Nowak  
Wydawca: Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum  
ul. św. Jana 10,  
10-012 Katowice  
tel. 32 253 82 21  
www.ateneumteatr.pl  
fb/ateneumkatowice

PUBLIKACJA NA LICENCJI CREATIVE COMMONS: UZNANIE  
AUTORSTWA – NA TYCH SAMYCH WARUNKACH 3.0 POLSKA (BY-SA),  
(<http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/legalcode>)



Konkurs stanowił element projektu *Szczęście. Po prostu*, który dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury *Ojczysty – dodaj do ulubionych 2022*.



Ministerstwo  
**Kultury**  
Dziedzictwa  
Narodowego  
i Sportu



OJCZYSTY – DODAJ  
DO ULUBIONYCH



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu w ramach programu Narodowego Centrum Kultury „Ojczysty – dodaj do ulubionych 2021”